Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — *Niedziela, dnia 7 listopada 1937 r.* — Nr. 45



Stara prządka

Jesienny wicher, gęsty mrok,
Pusto i ciemno wszędzie!...
Babusia bierze kądziel swą
I przędzie... przędzie... przędzie...
Babusia stara, ma sto lat,
Mało co patrzy na ten świat,
Tylko len siwy przędzie.
I ciągnie, ciągnie długą nić,
Nie mierzyć jej na piędzie...

Dłuższa, niż wszyscy będziem żyć —
I przędzie... przędzie... przędzie...
Babusia mądra, wszystko wie,
Co było i co będzie....
Patrzą w nią wnuki całe dnie,
A ona przędzie... przędzie...
A zacznie mówić? Bajek moc
Wykwita, jak na grzędzie...
Słuchałbyś dzień, słuchałbyś noc,

Kiedy, tak mówiąc, przędzie....
Czasem wiatr wionie, jakby duch
Przeleciał w wielkim pędzie...
Strach tobą wstrząśnie chocieś zuch,
A ona przędzie... przędzie...
Tak zasłuchany w baśni cud
Rói wnucząt ją obsiędzie;
Babusia prawi jakby z nut
I przędzie... przędzie... przędzie...

Konopnicka Maria

MARIA REUTT

12)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Prowadził maszynę pewną ręką i ze znajomością techniki. Szła, jak wicher, cicho, równo. Pod Warszawą zwolnił biegu.

— Przyjemnie? — zapytał cicho Danki.

— Przyjemnie — odszepnęła.

Byli już prawie w samej Warszawie.

Pani Ciemierzewska zajechała do Ludki.

— A panią gdzie odwieźć? — zapytał Danki.

Lecz ona już była na chodniku, zdecydowana, oporna.

— Pojadę tramwajem.

Tyle stanowczości brzmiało w jej głosie, że nie nalegał.

— O której godzinie mam się stawić i gdzie? — pytała pani Ciemierzewskiej.

— O ósmej tutaj, u Ludki.

Ukłoniła się wszystkim i zniknęła w tłumie ulicznym.

— Pani pozwoli, że o pierwszej zabiorę panie na obiad do „Cristalu" z panną Ludką...

— Niech pan sobie nie robi kłopotu z nami — wymawiała się pani Ciemierzewska, ale na próżno. Nie chciał słyszeć o tym, ani odstąpić od swej propozycji. Musiała się zgodzić.

— — — — — —

Wesołe towarzystwo jadło obiad tego dnia przy stoliku pod oknem w lokalu restauracji „Cristal". Ludka promieniała. Radość błyszczała w jej oczach, lśniła rumieńcem na twarzy, igrała uśmiechem na ustach.

Dziewczynki śmiały się co chwilę, aż matka musiała je uciszać, sama zresztą pełna wesołości. Bała się, że zastanie w Warszawie niepokój, drożyznę, przygnębienie — a tymczasem przekonała się, że miasto, jak na stolicę przystało, trzymało się dzielnie. Ruch uliczny ten sam, te same eleganckie postacie, sklepy pełne i kupujących i towaru.

Po przygnębieniu i zestrachaniu, jakim napełniały mieszkańców prowincji niepokoje i strajki, lekkomyślność stolicy podziałała na nią kojąco.

* * *

Danka, po opuszczeniu samochodu, wsiadła do dziewiątki i pojechała na Nowy Świat. Przy Ordynackiej wysiadła i skierowała się na Okólnik.

Drzwi otworzyła jej pani Wanda, w fartuchu, w chusteczce na głowie".

Chusteczka zerwana z włosów poleciała w kąt, fartuch zrzucony pospiesznie zahaczył o wieszak.



Oto szczęśliwa rekordzistka angielska Jean Batten, która z Australii do Anglii przeleciała w piętnastu dniach, osiemnastu godzinach i piętnastu minutach.

— Panna Danka!

Szeroko rozłożone ramiona objęły Dankę mocno i serdecznie.

— Na długo pani przyjechała? I jak, czym!...

— Dziś wracam samochodem z panią Ciemierzewską.

Rozradowana twarz pani Wandy spochmurniała.

— Szkoda, że na tak krótko. Poszłybyśmy do teatru lub kina...

— Nie mogę, nie miałabym czym wrócić do domu.

— Ach, te strajki — sarknęła pani Wanda.

Rozebrała ją, posadziła na kanapce i usiadłszy obok, wypytywała ją o jej życie, stosunki, nastrój.

Obejrzała ją krytycznie.

— Mizernie pani wygląda, ale wyładniała jeszcze. Zrobiła pani jakąś konkietę? — zapytała żartobliwie.

Danka potrząsnęła przecząco głową.

— Nie.

Pani Wanda wierzyć nie chciała.

— Z taką urodą!

Nagadawszy się, poszły po sprawunki, zabierając po drodze dzieci.

Danka zaproponowała maleństwom czekoladę z ciastkami, na co one zgodziły się z objawami głośnej radości, ku zmartwieniu matki.

— Łakomczuchy jedne! — gderała.

— My tylko z ciocią Danką — tłumaczyła cokolwiek strapiona parka.

W cukierni był tłok, że ledwie znaleźli miejsce. Przebiegając tłum oczami, przywidziało się Dance, że zauważyła Andrzeja. Siedział z dwiema bardzo przystojnymi paniami i wydawał się nimi zajęty. Ale to było tylko złudzenie.

Ten pan miał małe, czarne wąsiki, binokle i czarne, gładko na przedział rozczesane włosy. Spotkała się z jego oczami — były czarne jak u Andrzeja, ale w bardzo ciemnej oprawie, prześlizgnęły się po jej postaci obojętnie.

Gdy wstawały, by odejść, miała znów wrażenie, że hrabia z jakimś panem przeszedł koło niej. Nie obejrzała się jednak, choć miała wielką ku temu ochotę.

— — — — — —

Wróciwszy do domu, zastały już pana Bielińskiego. Siedział z gazetą w ręku trochę niezadowolony, że nie zastał żony w domu, i że musiał czekać z obiadem.

Ujrzawszy jednak Dankę, rozpogodził się, zły humor zniknął od razu.

Poczuła się dobrze w tym serdecznym otoczeniu, zapomniała o swoich troskach i zmartwieniach — o Bolszewii, o komisarzu Petrowie...

Dzieci wpakowały się jej na kolana i z otwartymi buziami przysłuchiwały się rozmowie starszych, nie rozumiejąc jej.

Z żalem zabierała się Danka do powrotu. Oboje państwo Bielińscy odwieźli ją na Wilczą.

Samochód hrabiego już stał przed domem pod opieką stróża. Wbiegła na piętro, przeskakując po dwa stopnie w pośpiechu.

Tam już czekali na nią.

Pani Ciemierzewska wyglądała na znużoną i niespokojną, dziewczynki były znużone. Jednej tylko Ludce błyszczały oczy i rumieniec palił twarz, bo hrabia stał obok niej.

— Spóźniłam się... — przelękła się Danka.

Hrabia wyjął zegarek — punktualnie co do minuty. Odetchnęła.

Zaczęły schodzić. Pierwsze biegły dziewczynki, a za nimi szła ociężale pani Ciemierzewska, dalej postępowała Danka, a na końcu hrabia z Ludką. Na zakręcie Danka mimo woli obejrzała się. Hrabia objął Ludkę wpół i pocałował w usta lekkim muśnięciem warg.

Danka minęła panią Ciemierzewską i pędem zbiegła ze schodów.

...Zaręczyli się widać — myślała. — Biedny Andrzej, będzie to dla niego cios...

* * *

Andrzej stał na środku pokoju Ludki i trzymając jej obie ręce w swoich, mówił życzliwie:

— Panno Ludko, niech pani trzyma się zdaleka od hrabiego. On nie dla pani.

Wyszarpnęła mu ręce zła, nastroszona.

— Rad nie potrzebuję, jestem dorosła!

— Ale jest pani siostrą mej bratowej, którą bardzo cenię i lubię... Nie chciałbym, ażeby panią spotkała krzywda lub zawód...

— Co pan ma do zarzucenia hrabiemu?...

— Dużo, a przede wszystkim to, że nie jest on dla pani odpowiednim kandydatem na męża.

Zaśmiał się szyderczo:

— Bo Moskal! No, może to trochę — ale obecnie jest polskim o-

bywatelem w wolnej Polsce. Argumenty tego rodzaju są już nieaktualne...

Widział, że przyszedł za późno, że ostrzegał nadaremno.

— Niech mi pani przynajmniej to przyrzeknie, że do marca nie przedsięweźmie pani nic stanowczego; nie da mu pani słowa, nie obieca niczego, coby panią zobowiązywało...

— Nie przyrzekam nic — odrzuciła twardo.

Adrzej wyszedł od niej z brwią ściągniętą, z zaciśniętymi ustami. Wobec uporu dziewczyny czuł się bezradny.

A Ludka, zostawszy samą, zacisnęła pięście.

— ...Jak on śmiał — szeptała wśród łez.

LIST DO SERCA...

— List do pani!

Tak rzadko odbierała listy; w ciągu paru miesięcy od bratowej, donoszący o lepszych interesach, o zdrowiu dzieci i wstydliwy dopisek, że w styczniu odbędzie się jej ślub. Drugi — od zacnej pani Bielińskiej, pełen życzliwości i serdecznych słów... To były jedyne wieści z jej świata.

— List do mnie? — zdziwiła się z niedowierzaniem, biorąc kopertę z rąk Józi.

Rzeczywiście był do niej adresowany staroświeckim pismem pani Bielińskiej.

„Danko moja — pisała ta zacna pani — był u mnie przed paru dniami ten pan, co Cię do mnie przywiózł z Bolszewii. Wstąpił przejazdem do Iwieńca. Pracuje w jakimś ministerstwie, mówił, że mu się dobrze powodzi, że myśli się żenić, że lubi swoją pracę. Nie określił bliżej tej pracy, ale że był samochodem i w szoferskiej kurtce, więc przypuszczam, że jest szoferem.

„Rozpytywał się o Ciebie, o Twoje obecne życie. Interesował się — co obecnie robisz, czy jesteś zadowolona z pracy. Ale nie pytał o adres Twój i okolicę, gdzie jesteś. Tak się zmienił, że go nie poznałam... A może i ten sam ma wygląd, tylko zbyt krótko go widziałam, by zapamiętać dobrze. Odjeżdżając, dziękował mi i za opiekę nad Tobą i pomoc w urządzeniu Twego życia. Aż mnie to rozczuliło.

„U mnie osobiście nic nowego. Stara bieda, trochę mi reumatyzm dokucza, zwyczajnie jak starej.

„Pisz do mnie, dziecko kochane, nie zapominaj o życzliwej Ci starowince.

„Całuję Cię i Bogu polecam, życzliwa

Adela Bielińska".

Zacisnęła list w dłoni kurczowo. Serce biło jej mocno, w głowie szumiało.

...Był tam, pytał się o nią, a ona go widzieć nie mogła!... Więc żyje i mieszka w Polsce. Zobaczyć go, podziękować mu, zapytać o tyle rzeczy, prosić o wyjaśnienia! — zerwało się w jej sercu gorącym pragnieniem.

Postanowiła na święta Bożego Narodzenia jechać do Ochorowa.

Wyobraziła sobie, że natknie się na niego w tej podróży. Miała wrażenie, że tam go spotka, że on koniecznie musi przebywać na kresach Wschodnich. Zespoliła go jakoś z Białorusią, nie umiała go sobie gdzieindziej wyobrazić.

Musi go spotkać, inaczej dusza jej całe życie będzie błądzić za nim.

Nie dotknęła jej wiadomość, że się żeni. Przecież i tak, po tym, co widział, na co patrzył, nie ożeniłby się z nią. Nie miała o to do niego pretensyj. Chciała mu tylko podziękować, powiedzieć, że jedynie przez niego zaczęła znów wierzyć mężczyznom i wierzyć w ich ludzkie uczucia. Pan Ciemierzewski i Bieliński nie liczyli się. Obaj mieli dzieci i żony kochające i żadnych pokus w postaci ustawy o wolnej miłości. Oni nie wąchali zapachu krwi, nie upili się nim. Ale on, codzienny świadek ludzkich mąk, tchórzostwa, podłości, schlebiania ludzkim namiętnościom, apoteozowania ich, mimo to zachował serce ludzkie, pożałował jej, nie skrzywdził...

IGRASZKA Z UCZUCIEM

Ludka, po tym pocałunku na schodach, spodziewała się wizyty hrabiego z dnia na dzień.

Ale dni szły za dniami, minął cały listopad — a hrabia nie zjawiał się, nie dawał nawet znaku życia. To nadsłuchiwanie na każdy odgłos telefonu, na każdy dzwonek u drzwi wchodowych, to ciągłe naprężenie słuchu i umysłu nadszarpnęły jej nerwy. Zrobiła się niecierpliwa, drażliwa, opryskliwa i w biurze i w domu.

— Coś jej jest — szeptali koledzy i znajomi. — Coś ją męczy i gryzie — domyślały się koleżanki.

Aż nagle, w chwili największego przygnębienia, zadźwięczał telefon dla Ludki.

— Jestem, przyjadę po panią, będziemy jedli obiad w „Savoy", a potem operetka lub rewia — dobiegały ją z telefonu zaproszenia, które brzmiały jak władcze rozkazy.

Znikło przygnębienie, pobladłe od tęsknoty policzki dziewczyny zakwitły rumieńcem.

I znów kwiaty, cukry, loża, słodkie spojrzenia, obiecujące niedomówienia, gorące uściski dłoni... Ale tego jednego słowa nie wymówił, na które ciągle czekała z drżeniem serca.

— I znów pozwoliłem sobie zostawić u pani paczkę dla siebie, wezmę po teatrze. Nie gniewa się maleńka? — i ten szept i to spojrzenie, które wlewało war w jej żyły.

W drodze z teatru całował jej dłonie i prosił przymilnie:

— Z poczty z Radomska przyjdą do pani dwie paczki, na pani imię dla mnie — po jedną zgłosi się kolejarz, po drugą student. Niech im pani wyda.

I jeszcze jedna prośba.

— W tych dniach przyjdzie do pani młoda osoba, Anna Petrunowicz, z listami również dla mnie, z Bolszewii. My, biedni wygnańcy, musimy być ostrożni, by nie narazić swoich bliźnich i dlatego porozumiewamy się prywatnie przez okazje. Takie to właśnie okazyjne listy przyniesie pani Anna Petrunowicz. — Można panno Ludko?... — i całusy coraz dłuższe, coraz gorętsze.

Wreszcie, jakby z żalem, oderwał się od jej dłoni, chcąc sobie to wynagrodzić, przytulił ją mocno do siebie i musnął wargami jej drżące usta. Byli już przed domem.

Wysadził ją z samochodu, zadzwonił na stróża — opanowany, spokojny, gdy ona drżała cała.

Uprzejmy ukłon już w obecności stróża, banalne „do widzenia", gdy mu przyniosła paczkę i mknął pustymi ulicami z szybkością prawie że niedozwoloną.

A ona wracała wolno po schodach, dusząc się łzami zawodu.

...Nie wiedział nic i tym razem.

Na Boże Narodzenie Ludka miała przyjechać do Ciemierzewa na tydzień. Nie czuła się dobrze. Zmizerniała, schudła i dyrektor biura, który ją cenił jako zdolną pracowniczkę, sam jej zaproponował zdrowotny tygodniowy urlop.

Danka prosiła o pozwolenie wyjazdu na święta do Ochorowa, do bratowej.

Szał strejków mijał, entuzjazm i wiara wśród robotniczej rzeszy w możliwość przewrotu w Polsce osłabły. Ludność jakby trzeźwiała, przychodziła do opamiętania. Znikły jednocześnie powodzie odezw i broszur komunistycznych, rozrzucanych po kraju w tajemniczy sposób.



Pięć nadobnych Amerykanek lansuje na jednej z plaż kalifornijskich nowe kreacje strojów plażowych. Zaznaczyć należy, że obecnie w Kalifornii sezon kąpielowy jest w całej pełni.

Życie wracało do normalnego stanu po parumiesięcznych próbach z zewnątrz zakłócenia spokoju i ładu.

Nie bojąc się już, by ugrząść gdzieś w drodze z powodu nastroju strajkowego wśród kolejarzy, chciała Danka zobaczyć swoich i być na ślubie bratowej. Miał się on odbyć na Nowy Rok, a gdyby Danka tak długo zostać nie mogła, to gotowi byli odbyć ceremonię w drugi dzień świąt.

Dankę w ostatnich czasach po liście pani Bielińskiej ogarnęło pragnienie odszukania swego tajemniczego zbawcy.

Pracował w ministerstwie... Ale w jakim?

Nie znała jego nazwiska, ani imienia, nie mogła go odszukać po biurach, bo nawet, gdyby go i odnalazła, to czy odgadłaby z podanych jej nazwisk, który to?

Może los będzie dla niej łaskawszy tam, na Wschodzie, na krańcach Polski — może tam dopyta się o niego?... Po ślubie chciała jechać do pani Bielińskiej i rozpytać się dobrze, a nawet dotrzeć do Iwieńca, bo może tam znajdzie wątek, nitkę, która ją zaprowadzi do celu, do kłębka.

Pojechała w zimowy, rozsrebrzony dzień sankami na kolej. Odwiozły ją dziewczynki. „Fräulein" już im się opatrzyła. Głupia i nudna — zadecydowały, wróciwszy znów do Danki i jej towarzystwa z minkami skruszonymi i niepewnymi przyjęcia. A że Danka nie robiła im wymówek, nie okazała urazy, kręciły się znów ciągle koło niej.

— Wróci pani do nas? — prosiły przy pożegnaniu.

— Wrócę, wrócę — zapewniała je. Zanadto mi miło i dobrze z wami...

Słały pocałunki za uciekającym pociągiem — odpowiadała im machaniem ręki.

Zatrzymała się w Warszawie od pociągu do pociągu u pani Wandy, by kupić dla dzieci zabawek. Obdarowała i maleństwa państwa Bielińskich i dla siostrzeńców nabyła dużą pakę niespodzianek.

Dla dziewczynki lalkę i urządzenie kuchni, dla chłopca łamigłówkę, piłkę, samochód jeżdżący na nakręceniem. Bratowej wiozła serwis do herbaty.

Na stacji w Zdołbunowie czekały na nią sanki zaprzężone w parę koni. Na ganku w Ochorowie witała ją rozczulona bratowa.

Nie była to już teraz ta sama jakby zwiędła, przedwcześnie postarzała kobieta. Stężała, policzki zaokrągliły się, oczy nabrały życia.

W milczeniu całowała ją długo i serdecznie. W pocałunki te wkładała całą swą wdzięczność za pomoc, która umożliwiła jej borykanie się z życiem i całą radość, że Danka nie potępia jej, ale odnosi się życzliwie do jej powtórnego zamążpójścia.

Dzieci już spały w swych białych, sosnowych łóżeczkach. Czekały na nią długo, nawet w łóżeczkach już starały się trzymać oczy otwarte, dopóki nie zmorzył ich sen.

Co to była za radość nazajutrz na widok ciotki. Przybiegły oboje do niej w koszulkach i tuliły się jak dwa kociaki.

A wieczorem choinka, nowe morze radości i zachwytu, bo zabawek była moc.

— Ciociu, mamusiu, wujaszku — wołała Krysia — patrzcie, ona mruga oczkami, zamyka je!

— Mamuśku, jaki śliczny samochód — podsuwał Staś zabawkę matce.

Danka nakręciła sprężynkę i samochód ruszył na objazd po pokoju.

Nowy zachwyt, głośniejsze okrzyki radości. Z prawdziwym żalem rozstawały się z zabawkami, idąc spać.

— Mamuśku — prosiła Krysia — niech lalka śpi ze mną.

— A mnie — dopraszał się Staś — pozwól wziąć samochód...

PIERWSZY ŚLAD

Na drugi dzień świąt odbył się ślub rano, podczas mszy św. w obecności dzieci, Danki, znajomego doktora i sąsiadów, starszej pary małżeńskiej. Wszyscy wrócili na obiad do Ochorowa.

Wino krajowe, nalewki domowe, indyk swojego chowu, prosiak, trochę wędliny i ciast — stanowiły całą ucztę, ale nastrój był wesoły i pogodny.

Wieczorem Danka odjechała w stronę Lidy. W Olechnowiczach również czekał na nią koń i saneczki: chłopskie, niekute. Ślisko było, i mroźno, droga utarta, konik wypasiony, więc jechali raźno i prędko.

— — — — — — — — —

— Niech mi pani opowie wszystko o nich — prosiła Danka, siedząc w ciepło ogrzanym pokoju obok pani Bielińskiej, na skrzyni przy piecu.

Mało to zaszło zmian, meble te same, ta sama dobra i serdeczna pani domu.

— Cóż ci mogę właściwie powiedzieć? — Młody, przystojny, wysoki to wiesz sama, bo go lepiej znałaś ode mnie. Przyjechał nad wieczorem samochodem, trochę zziębnięty, mówił, że jedzie po wiceministra do Iwieńca, bo tam on się zatrzymał dzień cały. No i pytał o ciebie. Pytał, czy długo byłaś, czy rodzinę odnalazłaś, co teraz robisz, czy pisujesz do mnie, czy jesteś zadowolona z obecnego życia... Słuchał uważnie, jakby sobie chciał to wszystko wbić w pamięć, a na pożegnanie pocałował mnie w rękę dwa razy, ale nazwiska swego nie powiedział. „Dziękuję pani za opiekę nad nią" — to były jego ostatnie słowa na pożegnanie.

Wchłaniała w siebie każde słowo. Zapadały one głęboko w jej duszę, budząc tęsknotę za nim.

...Musi się z nim spotkać, musi go odnaleźć, musi...

Prosiła o konie do Iwieńca.

...Może tam dowiem się w jakim służy on ministerstwie, a wtedy sama tam pójdę na poszukiwania.

W Iwieńcu jednak niczego się nie dowiedziała. Było kilku szoferów departamentowych z różnych ministerstw. Wróciła zawiedziona, ale nie zniechęcona.

Wierzyła jednak w cud. Miała nadzieję, że on przeczuje, iż ona tu jest i przyjedzie.

Cud się nie spełnił, choć błagała o niego. Wychodziła na drogę i z oczyma utkwionymi na wschód — „przyjdź" — prosiła głośno, wsłuchana w poświst wiatru zimowego, co hulał po małym ogrodzie Iwieńca. „Czekam cię, więc przyjdź, bym ci mogła podziękować, przeprosić za złe, opryskliwe słowa, którymi tyle razy cię obrzucałam, przyjdź... przyjdź, koniecznie" — błagała, rzucając słowa w wiatr, jakby w nadziei, że doniesie je temu, dla którego były przeznaczone.

(C. d. n.)

WOJCIECH HOLM

55)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

W świetnym humorze wyszła tedy ze sklepu i zasypywała swego kochanka czułymi słówkami. Chwaliła jego wspaniałomyślność i dobroć.

Józef był także bardzo kontent, mimo, że go tak wyzyskała. Byli więc oboje w świetnym humorze i tak doszli do restauracji „Księcia pruskiego".

Tu zastali już wesołe towarzystwo. Karolina pozdrowiła obecne tam przyjaciółki i towarzyszących im przyjaciół. Józefowi było tu bardzo miło. Zamówił dla całego towarzystwa poncz i babkę, co się wszystkim naturalnie bardzo podobało. Potem rzucił pieniądze muzykantom i puścił się w tany z Karoliną.

Był o tyle dobrze wychowany, że nie zajmował się wyłącznie Karoliną, ale w ciągu popołudnia i wieczora tańczył z innymi dziewczętami i częstował je.

To zachowanie się jego bardzo się tym damom podobało i były dla niego uprzedzająco grzeczne.

Nawet i panowie byli dla niego uprzejmi.

Józef był tedy bohaterem tego wieczoru, co też z zadowoleniem zauważył.

Tego dnia było już niezwykle wesoło w restauracji Księcia pruskiego, a już najweselszą ze wszystkich była Karolina. Piękna ta dziewczyna okazała się tak towarzyską, że Józef był zachwycony.

W tańcu wykonywała różne komiczne ruchy i skoki, tak, że się wszyscy brali za boki.

Była też bardzo dowcipna i wzbudzała tym ogólną wesołość, a Józef dumny był ze swej partnerki.

Już dniało i większa część gości opuściła już była lokal, ale Józef dał jeszcze pieniądze muzykantom i kazał im zagrać jeszcze walca dla siebie i swojej damy.

Śpiący muzykanci zagrali jeszcze jednego wesołego walca.

Józef chwycił Karolinę w pół, tańczył z nią jeszcze kilka razy naokoło sali, ale dziewczyna wcale nie była zmęczona.

Oczy jej błyszczały, mogłaby jeszcze się bawić. Gdy Józef przestał tańczyć, powiedziała z żalem:

— Co za szkoda! Byłabym tak cały tydzień tańczyła.

— Ty jesteś wesołą dziewczyną — powiedział Józef, patrząc na nią z podziwem — tu jednak już nikogo nie ma, więc i my musimy stąd pójść. Szukajmy, może jeszcze w jakim hotelu będą goście.

Karolina z radością włożyła swój nowy płaszcz i szła wsparta na ramieniu Józefa przez ulicę, która była jeszcze ożywiona życiem nocnym.

Znajoma nasza para zaglądnęła już była do kilku lokali, ale wszędzie było prawie pusto.

Nigdzie nie było dla nich zachęcająco.

— Cóż to za krótka noc jest! — skarżyła się Karolina — ledwie się dobrze rozbawiłam, a już muszę zabawę kończyć.

— Już piąta godzina, pocieszał ją Józef.

— A ja jestem wolna do wpół do ósmej — odrzekła dziewczyna. — Wcześniej nie pójdę też do domu. Będę jeszcze miała dosyć czasu, aby się przebrać i być o ósmej w służbie.



Kapitan niemieckiej linii powietrznej Hanna Reitsch ustanowiła nowy rekord lotniczy.

Wstąpili więc do jakiegoś nowego lokalu, w którym jeszcze było kilku ludzi.

Ale ku wielkiemu zmartwieniu Karoliny i tu już nie tańczono.

Nasi znajomi usiedli sobie przy jednym ze stolików, a Józef zamówił poncz i kanapki.

— O, to był piękny dzień! — mówiła dziewczyna do swego towarzysza. — Ach, gdybym i dzisiejszy dzień tak wesoło przeżyć mogła.

— Dlaczegożby nie? — spytał Józef. Jutro, a właściwie dziś możemy sobie znowu popróżnować i zabawić się; to jest najlepsza robota.

— Ale co też myślisz — odrzekła Karolina z przygnębieniem. — Piękniebу się na mnie popatrzył mój gospodarz, gdybym jutro znowu o wolny dzień prosiła. Ja mam tylko co cztery tygodnie jedną wolną niedzielę, a co dwa tygodnie jedno wolne popołudnie, taka była między nami umowa.

Przy tych słowach patrzyła smutno w swoją szklaneczkę.

— Wiesz co? — powiedział Józef — zostaw tego starego gospodarza i chodź do mnie, będziesz miała wolności ile zechcesz, a będzie nam dobrze, jak u Pana Boga za piecem.

Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Ale czy masz to, co do tego potrzeba? — zapytała i zrobiła przytem ruch ręką, jaki się wykonuje przy liczeniu pieniędzy.

— O, jeszcze ile! — odrzekł Józef z przechwałką. Głodować mógłbym sam, ale do towarzystwa, zawsze jeszcze kogoś mieć trzeba. Chodź ze mną Karolinko, a nie pożałujesz?

— Ale jakżeż uwolnię się u swego gospodarza — zapytała Karolina z wahaniem — on mię nie uwolni, nim nie przyjdzie na to pora.

— Nie pytaj się go wcale — radził jej Józef. — Kto za dużo pyta, zawsze się czegoś dopyta. Nie przyjdziesz i na tym koniec.

— Ale przecież nie porzucę swego zajęcia — odrzekła dziewczyna, w której coraz silniejsze budziło się pragnienie takiego życia, do jakiego ją zachęcał Józef.

— Pójdziesz teraz do domu, wsuniesz się cicho do swego pokoju. Twoi gospodarze pewnie będą jeszcze spać, więc skorzystasz z tego, spakujesz swoje najlepsze rzeczy. Ja zaczekam na ciebie przed bramą i pojedziemy najbliższym pociągiem do Berlina.

To podobało się dziewczynie. Wykonała zaraz, co jej Józef polecił, odebrała też z otwartego właśnie sklepu firmy Cohn i Rosenthal swój płaszcz i żakiet i w godzinę później jechała nadzwyczaj wesoła i zadowolona do Berlina.

Józef nie obawiał się już więcej spotkania z Marynią, bo ona odpłaciła mu się już równą monetą. Cieszył się na myśl, jak wesołe życie będzie teraz prowadził ze swoją nową, młodszą i weselszą towarzyszką.

A w poniedziałek czekał długo właściciel gospody pod „Siwym Wołem" na swą kelnerkę i swego codziennego gościa, aż dopóki nie przyszedł do przekonania, że oboje gdzieś w świat się wybrali. Ale Józef tak mu dobrze zapłacił, że wcale nie miał do niego żalu.

ROZDZIAŁ CCXIV.

Moc nienawiści

Trwało to dość długo zanim się Ilona o tyle uspokoiła, aby móc obmyśleć, co dalej uczynić.

Wreszcie odgarnęła kędzierzawe włosy z czoła i poszła drogą wiodącą do karczmy. Idąc, klęła zawzięcie.

— Czy nie ma tu Ksawera? — spytała odniechcenia, wchodząc do gospody. — Chciałam mu oddać lekarstwo dla jego chorej żony.

— Nie, nie zachodzi on tu często, bo nie ma za co biedak! — odparł gospodarz.

Ksawer nie jest już teraz taki biedny — wtrącił jeden z obecnych tam chłopów, który siedział przy stole, popijając piwo do stojącej przy nim baby.

— Jakto? — spytał gospodarz równocześnie z Iloną.

Wczoraj rano gdym jechał do miasta — odpowiedział chłop — zobaczyłem na drodze Ksawera z dwojgiem dzieci i żoną wlokącą się powoli za nimi. Prosił mnie, abym ich do miasta zabrał, a że mnie się ich żal zrobiło, wziąłem ich na swój wóz.

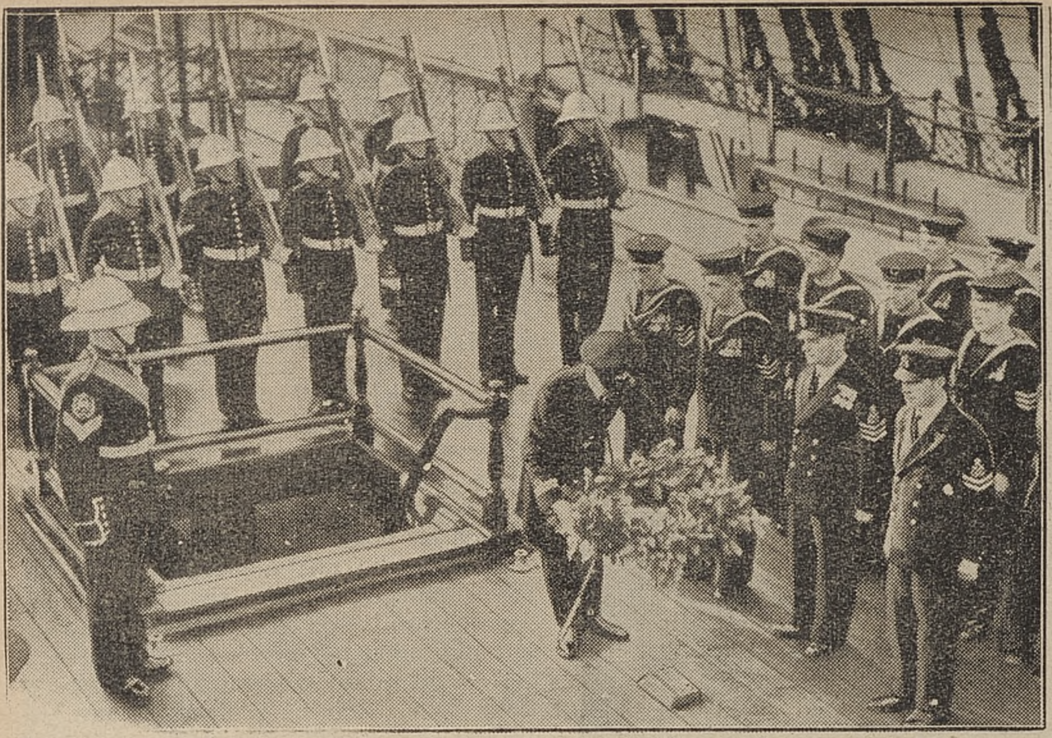
Gdym się ich zapytał, po co z dziećmi do miasta się wloką, odpowiedział Ksawer, że chce iść z żoną i dziećmi do lekarza, aby im coś zapisał.

— Niechby im lepiej chleba kupił — wtrącił właściciel gospody — bo one z głodu są chore. Musi jednak mieć teraz trochę pieniędzy — dodał po chwili — jeśli mu starczy na doktora i aptekę.

— Tak jest — potwierdził chłop — Ksawer mówi, że dostał jakiś mały spadek. Gdyśmy przejeżdżali koło sklepu Lichtblaua prosił mnie, abym się zatrzymał i zsiadł tam z rodziną, aby im kupić nowe odzienie, bo nie chciał tak obdarto pójść do doktora.

Wierzę — syknęła Ilona z ukrytą złością, a potem zapytała:

A dokąd poszli?



Ku uczczeniu 132-giej rocznicy zwycięskiej bitwy morskiej pod Trafalgar, angielscy mary narze złożyli na pokładzie okrętu admiralskiego biorącego udział w tej bitwie, laurowy wieniec.

Nie wiem — ofuknął ją chłop — pojechałem zaraz dalej, nie troszcząc się więcej o nich.

Ale, czy oni przenocowali w mieście? — badała Ilona natrętnie.

— Czy masz jeszcze jakie pytanie? — szydził chłop. — Nie wiem nic więcej o tych hołyszach, ale jakeś ciekawa, to idź po Petershagen i spytaj się Lichtblaua o nich. Ten pewno wie więcej, niż ja. Zabieraj się stąd, Cyganko! — dodał szorstko.

Ilona wyszła z gospody, a wszyscy obecni spojrzeli ciekawie za nią.

Co ona może mieć wspólnego z Ksawerym? — spytał jeden z nich zaintrygowany — ona naprawdę poszła drogą wiodącą do Petershagen!

Nic dziwnego — wtrącił gospodarz — on stary kłusownik, a ona Cyganka; warte jedno drugiego, a swój swego zawsze znajdzie!

Tymczasem Cyganka biegła do Petershagen, co jej tchu stało, i rozumie się, że pierwszy jej krok był do sklepu Lichtblaua.

Wszedłszy tam, zobaczyła elegancko ubraną piękną damę. Gdy jej się bliżej przypatrzyła, spostrzegła ku wielkiemu swemu zmartwieniu, że to była Sylwia.

Dobra ta istota, nie mając pojęcia, ile złego Cyganka już jej wyrządziła, zbliżyła się do niej i rzekła uprzejmie:

— O, co za niespodziane spotkanie! Jak się masz, Ilono?

Ilona, ukrywszy złość odpowiedziała również grzecznie, a potem spytała:

— Co wielmożna panienka kupuje u Lichtblaua? On ma przecież tylko towar dla chłopów?

— Mam ja towar i dla państwa, — oburzył się Lichtblau, dotknięty w swych najświętszych uczuciach, — mam chłopski towar dla chłopów, a pański dla państwa. Wielmożna panienka jedzie aż do Ameryki i kupuje u mnie suknię na tę podróż. Da Bóg, to wróci sama zdrowa i przywiezie ze sobą tę suknię, w dobrym stanie jeszcze.

— Czy to prawda? Czy wielmożna panienka rzeczywiście jedzie do Ameryki?

— Tak jest — odparła Sylwia.

— A po co? — spytała znów Ilona badawczo.

Nie chciałabym mówić o tym — oświadczyła Sylwia otwarcie.

Cyganka obrzuciła ją bystrym, nieufnym spojrzeniem, zaniepokojona tym, co słyszała.

Po co ta nienawistna istota wybiera się w tak daleką podróż? — myślała bez ustanku — co i kogo może szukać w Ameryce?

Myśli te przerwała żona Lichtblaua pytaniem?

Czym ci mogę służyć, Ilono?

— O, ja mogę czekać — odparła Cyganka — jak jest wielmożna panienka w sklepie, to trzeba ją pierwej obsłużyć. Chcę zresztą tylko małą sztuczkę i nie spieszy mi się z tym.

Mówiąc to, myślała ciągle o Sylwii i o jej podróży.

Jakto się czasy zmieniają! — filozofował kupiec Lichtblau.

Gdym jeszcze był młodym — bocherem — (u Żydów znaczy to: nieżonaty, młodzieniec), to było wielką rzeczą, gdy ktoś jechał do Wiednia, a teraz ludzie jadą do Ameryki, tak, jak się idzie na wizytę do sąsiada. Nie tak bardzo dawno temu, jak Meyer z żoną tam wyjechali!

Meyer! — nazwisko to wyjaśniło Cygance wszystko. Zagadka była rozwiązana: Sylwia jechała do Ameryki, aby odszukać Meyera i nakłonić go do świadczenia przeciwko baronowi.

Ilona musiała stłumić okrzyk, wyrywający się z jej piersi.

Przystąpiła do Sylwii i szepnęła jej:

— Wielmożna panienka jedzie do Ameryki, aby odszukać Meyera.

Zagadnięta w ten sposób Sylwia zbladła i nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

Nie chce kłamać, więc milczy, — myślała Cyganka — a to milczenie jej, utwierdza mnie w myśli, że odgadłam cel jej podróży. Nie ma teraz czasu do stracenia, a przede wszystkim muszę porozumieć się z baronem, aby on przeszkodził zetknięciu się Sylwii z rudym Meyerem.

Nienawiść jej dla Sylwii tak była wielką, że wobec niej wszystko inne na drugi plan schodziło. Zapomniała nawet o stracie swych 6.000 złotych!

Pani Lichtblau przyniosła tymczasem karton z chustkami i zaczęła je Ilonie pokazywać.

Cyganka wybrała sobie jasno czerwoną i zapytała o cenę. Odtargowawszy kilka groszy, położyła przed kupcową pieniądze na stół, włożyła zaraz chustkę na szyję i pożegnawszy się, wyszła.

Udała się wprost na dworzec kolejowy i spytała się tam, ile kosztuje bilet 4-tej klasy do Wiednia. Potem usiadła w poczekalni i przeliczyła swoje pieniądze.

Po zapłaceniu biletu zostanie mi jeszcze 1 gulden i 6 centów — myślała, — a we Wiedniu będzie to już rzeczą barona napełnić mi znów sakiewkę. W ostatecznym razie wrócę pieszo do domu. O, setki mil bym w śniegu boso przyszła, aby tylko pokrzyżować plany tej znienawidzonej Sylwii.

Okropna nienawiść patrzyła jej z oczu i szpeciła piękną jej zresztą twarz.

Cierpliwie czekała kilka godzin, kupiła potem bilet do Wiednia i siadła w wagonie 4-tej klasy, między Żydami, przekupkami, rzeźnikami i t. d.

Jeden z rzeźników zaczął żartować w niezbyt delikatny sposób i zwróciwszy się do Ilony spytał ją, dlaczego ona taka milcząca.

— Bo mi się towarzystwo tu nie podoba — odcięła się Cyganka.

— O, dla ciebie jeszcze za dobre — zaśmiał się rzeźnik — chodź, i daj mi całusa, a ja ci za to dam wódkę.

— Jak zechcę wódkę, to sobie sama kupię! — krzyknęła Ilona oburzona — a ty dawaj swoją wódkę tej rudej dziewczynie, która wciąż na ciebie patrzy!

— Widać, że ma lepszy gust od ciebie — odciął się rzeźnik i zwrócił się do tamtej, która jego umizgi przyjęła bardzo grzecznie.

O Ilonę nikt się więcej nie troszczył; mogła więc oddać się swoim myślom.

W miarę jak się ściemniało, zaczął się wagon wypróżniać. Wreszcie został prócz Ilony tylko jeden mężczyzna i jedna kobieta.

Para ta wsiadła na ostatniej stacji i zaczęła rozmawiać ze sobą żywo, ale szeptem.

— Ile sztuk masz? — spytał mężczyzna w żargonie złodziejskim.

— Dwadzieścia i dwie — odpowiedziała kobieta — same młode, świeże dziewczęta między 16—-tym rokiem. Będziesz mógł dostać za nie w Ameryce po 4—6.000 dolarów za sztukę.

Na to mruknął mężczyzna:

Musiałyby to być same srebrne łyżki! (techniczna nazwa handlarzy żywym towarem na szczególnie piękne dziewczęta). Ale ja znam już twoje oszustwa. Ostatni raz także chwaliłaś mi towar, a 10 sztuk z nich, to były same kartoflane worki (tak nazywają ci handlarze brzydkie, niezgrabne dziewczęta)! Ledwo odebrałem wtedy swoje pieniądze i daremnie się namęczyłem. Teraz za to będę mądrzejszy, i nie dam ci ani centa, nim towaru wprzód nie zobaczę, pani Schnorr!

Pani Schnorr poruszyła się niespokojnie na swoim miejscu i zaczęła narzekać.

— Jaki z ciebie niedowiarek, Schankel Pipa, że nie ufasz nawet mnie, starej przy-

jaciółce, która cię zna od urodzenia. Jak ci mówię, że towar jest — prima, — to mi możesz wierzyć na słowo, bez oglądania.

— Ja wierzę co zmierzę, — zaśmiał się Schankel Pipa. — Pani Schnorr, przebiegła z ciebie osobna, ale mnie przecież oszukasz!

— Nie chcę cię też oszukać! — zapewniała go pani Schnorr z patosem. — Wszystkie dziewczęta, jak ich jest 22, są zdrowe jak orzechy, rosłe, świeże i ładne, że aż serce raduje się patrzeć na nie!

Ilona słuchała bacznie. Zrozumiała całą rozmowę, bo znała też żargon.

Przyszło jej na myśl, że może się Sylwii pozbyć za pomocą tych dwojga ludzi.

— Niech ją zwabią i sprzedadzą w Ameryce wraz z innymi dziewczętami do publicznych domów! — pomyślała.

Położywszy rękę na sygnał, przemówiła do nich w ich żargonie:

— Nie odważcie się uczynić na mnie zamach, bo dam sygnał i zatrzymam pociąg. Wiem, że handlujecie żywym towarem i mogłabym was oddać policji. Nie uczynię tego jednak, bo mam ważne ku temu powody.

Okrągła twarz pani Schnorr, zbladła jak ściana, a czcigodny Schankel Pipa sięgnął ręką do kieszeni surduta.

— Nie wyjmuj rewolwera, głupcze! — zawołała pani Schnorr. — Gdyby ona nas chciała zdradzić, toby tego pierwej nie mówiła. Zdaje mi się, że ona chce przystąpić do naszego interesu!

— Kuta z ciebie baba, pani Schnorr! — rzekła Cyganka z podziwem. — Mam rzeczywiście dziewczynę, którą chcę oddać w wasze ręce.

Jest bardzo ładna, gra na fortepianie, śpiewa, mówi trzema językami i wygląda jak hrabina. Możecie ją sprzedać jakiemu bogaczowi i zarobić na niej wielki majątek.

— Gdzie jest ta perła? — zapytała pani Schnorr ciekawie.

Wybiera się tymi dniami do Ameryki — odparła Ilona — i będzie to już moją rzeczą, aby się dostała w wasze ręce. Dokąd teraz jedziecie?

Do Wiednia — odpowiedział Schankel Pipa — ale tam tylko kilka godzin się zatrzymam. Stamtąd wybiorę się ze swoim towarem wprost w dalszą podróż i będę dopiero za 4 lub 6 tygodni z powrotem z Ameryki.

— No, tybyś się nie wiele w tej sprawie przydał — odcięła mu się Ilona. — Mógłbyś tylko zepsuć interes, bo moja panienka ma bystre oko. Odgadłaby z twarzy szlachetne twoje rzemiosło i strzegłaby się przed tobą.

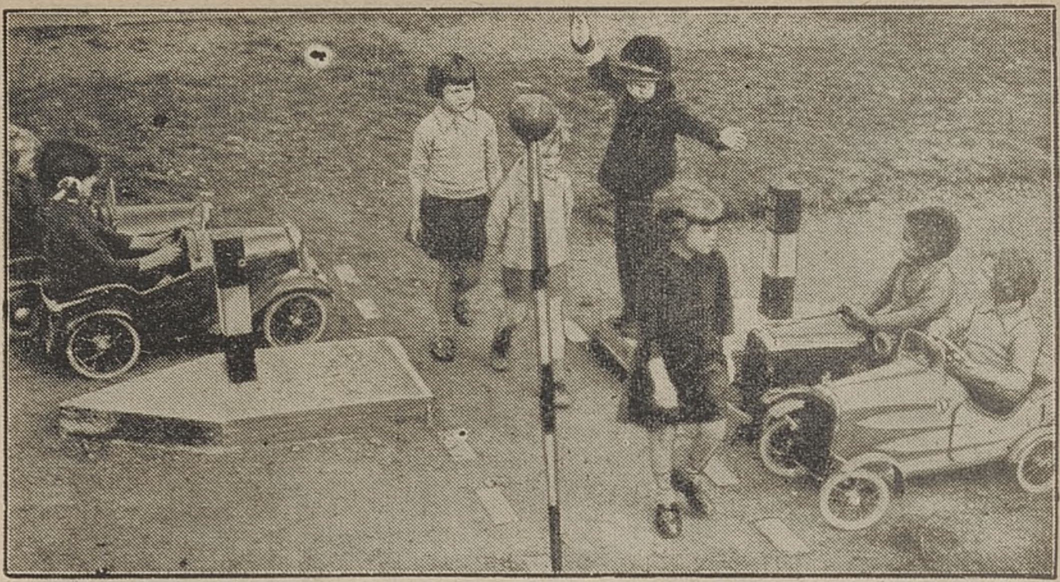
Pani Schnorr wygląda już o wiele porządniej od ciebie, i gdyby się na czarno ubrała, możnaby ją mieć za jakąś poczciwą pachciarkę.

— O, nie podobam ci się! — krzyknął obrażony Pipa. — Ale pieniądze moje, toby ci się podobały.

— Zamknij gębę! — przerwała mu pani Schnorr bez ceremonii — i nie zabieraj daremnie czasu! — Potem zwróciwszy się do Ilony, zapytała:

Czy nie mogłabyś mi powiedzieć, jakim by to sposobem najłatwiej zwabić dziewczynę, którą nam chcesz wskazać?

— Omówimy to wszystko później — odpowiedziała Ilona.



Każde z tych małych obywateli angielskich na pewno będzie idealnie przestrzegać przepisów regulujących ruch, skoro w tak ciekawy i przyjemny sposób nauczą się tego.

Rzekłszy to, rzuciła na Pipa znaczące spojrzenie, które miało znaczyć:

Ten dureń nie potrzebuje o wszystkim wiedzieć!

— Ha, ha — zaśmiał się Pipa — ta Cyganka mi się podoba. Nie ma ona widocznie pieniędzy i chce wydurzyć u nas mieszkanie i utrzymanie we Wiedniu. Jak ją nakarmisz i przenocujesz, to ci zniknie i zostawi cię na lodzie — rzekł do pani Schnorr.

— Fe, sądzisz innych według siebie — zawołała Ilona — pogardzam tobą! Abyś zaś wiedział, że to nie prawda, zapłacę zgóry za nocleg, kolację i śniadanie. Ile wam się za to będzie należało?

— Dla ciebie policzę bardzo tanio, tylko jednego guldena — odpowiedziała pani Schnorr szybko.

— Dobrze, macie tu guldena, abyście nie mówili, że chcę od was za darmo — rzekła Cyganka, wyjmując pieniądze z kieszeni.

— Dziękuję — rzekła pani Schnorr zadowolona — i spodziewam się, że masz jeszcze wiele takich srebrniaków.

— Jak mi zabraknie, to sobie potrafię zarobić — zapewniała Ilona.

W tej chwili pociąg się zatrzymał. Do wagonu weszli nowi podróżni i pani Schnorr musiała dalszą swą rozmowę z Iloną ograniczyć do pojedyńczych słów.

Pipa milczał ponuro i obrzucał Cygankę od czasu do czasu nienawistnym spojrzeniem.

Późno w nocy przybyli do Wiednia, że jednak nie mieli żadnych punktów, poszli pieszo do mieszkania pani Schnorr. Było to wprawdzie dość daleko, ale dorożka w nocy była droga, a oni nie mieli pieniędzy na taki luksus.

Ilona zmęczona i osłabiona przejściami dni ostatnich, zapytała:

— Czy to jeszcze daleko?

— Nie — pocieszała ją pani Schnorr — będziemy zaraz w domu.

Schankel Pipa, zaśmiał się drwiąco.

— Jesteś Cyganką — rzekł — a robisz takie miny, jak gdybyś tylko powozami przez całe życie jeździła. Powinnaś umieć utrzymać się na nogach co najmniej 48 godzin!

— A skąd wiesz, mądralu, że ja tego nie umiem? — spytała Ilona obrażona. — Czy masz pojęcie, ilem ja się w ostatnim czasie nabiegała i namęczyła? Jestem dość wytrwała, ale dziś będę Bogu dziękowała, jak będę mogła wypocząć.

— Jeszcze mamy tylko przejść jedną uliczkę — pocieszała ją pani Schnorr — nie zdradź tylko dziewczętom, jaki los ich czeka!

— Broń Boże — rzekła Ilona.

Pipa zaś myślał:

Gdyby tak tę Cygankę można było zwabić, to byłaby dobra gratka! Ale wątpię czy się to uda, bo dziewczyna diabelnie przebiegła. Trzeba się przed nią mieć na baczności. Gotowa by mi takiego figla spłatać, jak ta Rumunka, Ilka, która sobie w San Francisco życie odebrała.

Zdaje mi się, że zrobiła to tylko mnie na złość, aby mnie pozbawić zarobku. Umierała pewno lekko, na myśl, że mi szkodę wyrządza, bo sam przewóz jej kosztował 200 zł. aT Cyganka byłaby w stanie to samo uczynić!

W ciągu tego monologu minęła trójka hultajska wąską uliczkę. Pani Schnorr zatrzymała się zadyszana przed dużą, starą i odrapaną kamienicą.

— Jesteśmy już w domu — rzekła z widoczną dumą, ciągnąc za dzwonek co sił. — Przygotuj szóstaka, Schankel — rzekła zwracając się do swego wspólnika — bo ja nie mam drobnych przy sobie.

— Wielkich pewno także nie masz — zaśmiał się uprzejmy Schankel Pipa, ale mimoto sięgnął ręką do kieszeni i wyjął trochę drobnych.

Wkrótce uchyliła się brama.

Pani Schnorr zaczęła ze stróżem coś szeptać. Potem wyjęła z kieszeni kawałek świecy i zaświeciwszy ją poszła naprzód, wskazując swym towarzyszom drogę do swego domostwa.

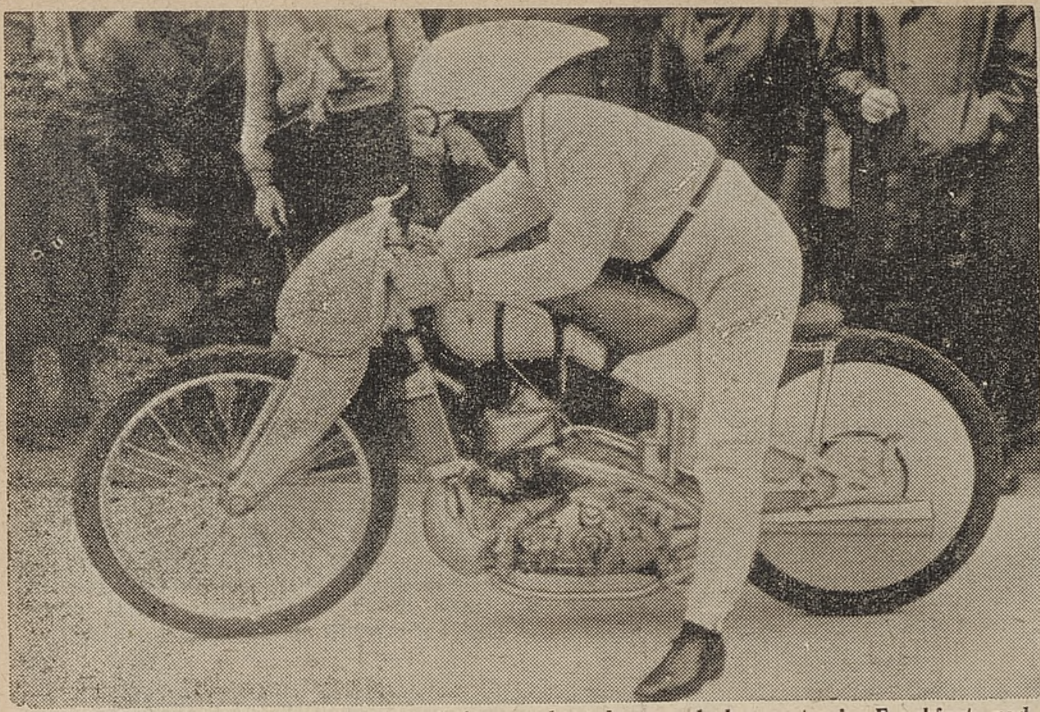
Domostwo to tak niezwykłe, że zasługuje, aby je opisać naszym czytelnikom obszernie w obszernym rozdziale.

ROZDZIAŁ CCXV.

Białe murzynki

Gdy weszli na czwarte piętro, otworzyła pani Schnorr kluczem drzwi do przedpokoju, który był równocześnie kuchnią i nie grzeszył wielką czystością.

— Jak tu ładnie, prawda? — rzekła pani Schnorr, wprowadzając Schankla i



Na zdjęciu zwycięska maszyna w międzynarodowych zawodach na trasie Frankfurt nad Menem — Hilderberg.

Ilonę i oświetlając oprószone i zasmolone sprzęty.

— Trochę więcej czystości nie zaszkodziłoby! — zaśmiał się Pipa.

— Dla mnie wystarczy — odcięła mu się pani Schnorr — a jak ci się nie podoba, to sobie zamień na lepsze.

— Zamknij gębę, bo cię uderzę, stara wiedźmo — odpowiedział uprzejmie Pipa.

— Cicho, bo zbudzisz mi dziewczęta — przestrzegała go pani Schnorr — i poprzestraszasz je swoim krzykiem i kłótnią!

Ale już było za późno, bo otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i weszła przez nie młoda, śliczna dziewczyna, w negliżu. Chciała zobaczyć, co się stało, że taki krzyk powstał.

— Ach, to pani! — rzekła, zwracając się do właścicielki tego mieszkania — kiedy pani wróciła? Czy miała pani dobrą podróż?

Zamiast gadania, daj lepiej co zjeść — ofuknęła ją pani Schnorr, bo jesteśmy głodni jak sybirskie wilki. Czyście co przygotowały?

— Jest pieczona gęś, zimna pieczeń i sałata kartoflana — odpowiedziała piękna dziewczyna.

— Podajże te przysmaki czym prędzej — rozkazał Pipa — w braku czego innego i to wystarczyć musi.

Podcząs tej rozmowy przeszło dobrane to towarzystwo do sąsiedniego pokoju.

Umeblowanie tegoż składało się z czerwonej pluszowej kanapy i dwóch fioletowych foteli. Na podłodze leżał bardzo jaskrawy, strzyżony dywan, a na ścianie wisiało duże weneckie zwierciadło, które przedstawiałoby wielką wartość, gdyby nie było pęknięte.

Było to więc całe urządzenie tego pokoju; każdy sprzęt z osobna pierwotnie bardzo musiał być kosztowny.

Dziwny kontrast, wobec tych kosztownych mebli stanowiło wąskie żelazne łóżko, stojące również w tym pokoju.

Było to łóżko młodej dziewczyny, którą poznaliśmy zaraz u wejścia do przybytku pani Schnorr.

— Jak się ta dziewczyna nazywa? — spytała Cyganka, wskazując na nią palcem.

— Matylda — odpowiedziała pani Schnorr, a potem krzyknęła:

Po co to nakrywanie do stołu? Jak dasz co dobrego do jedzenia, to i bez obrusa smakować będzie!

Matylda usłuchała i przyniosła pieczoną gęś postawiwszy ją na nienakryty stół. Pan Pipa wyjął natychmiast nie bardzo apetyczny nożyk z kieszeni i ukroiwszy sobie duży kawał gęsiny zaczął jeść, mlaskając przytem głośno.

— Nie mogłeś już czekać aż chleb przyniosę — upominała go pani Schnorr z wyrzutem.

— Nie wiem, dlaczegoby gęsiny nie można było jeść bez chleba — odpowiedział Pipa i nie dając się zbić z tropu przysunął sobie miskę z sałatą i zaczął z niej zajadać, jak gdyby nikogo więcej przy stole nie było.

— Za mało śledzi i cebuli — krytykował, biorąc znów pełną łyżkę do gęby.

— Nowa moda, żreć sałatę łyżką — wściekała się znów pani Schnorr.

— Moda czy nie moda — mruknął Pipa — ale wygodnie. Czy nie ma musztardy w domu? Jak można jeść zimną pieczeń bez musztardy lub korniszonów?

— Tobie zawsze czegoś brak — gderała pani Schnorr, a potem zawoławszy Matyldę zapytała:

Czy nie ma tam w kuchni trochę musztardy albo ogórków?

Matylda zaprzeczyła.

— Ładne gospodarstwo! — narzekał Pipa — jedząc gęsinę jak chleb.

— Zostaw dla nas choć po kawałku — zawołała Ilona.

— Po co? — spytał Pipa drwiąco, krojąc ostatni kawał mięsa z mostka.

— Jak się tam dziewczęta sprawowały, Matyldo? — spytała pani Schnorr.

— Miałam z nimi biedę — odpowiedziała zapytana. — Ema chciała koniecznie wyjść sama na miasto, i z ciężkim trudem ją zatrzymałam.

— Już najwyższy czas, aby je stąd wytransportować — mruknęła pani Schnorr i zwróciwszy się do Matyldy, rzekła:

— Porachujmy się teraz. Dałam ci 20 reńskich na wyjezdnym. Ile ci z tych pieniędzy zostało?

Matylda chciała właśnie coś odpowiedzieć, gdy Pipa krzyknął:

— To ma czas do jutra, a ja jestem spragniony. Daj mi się czego napić, dziewczyno!

Matylda spojrzała pytająco na swoją panią.

— Piwa — szepnęła pani Schnorr, a Matylda wziąwszy klucze, pobiegła do piwnicy.

— Straszne gospodarstwo, ani flaszki piwa na zawołanie mieć nie można! — mruknął Pipa niezadowolony.

— Skąd się ta Matylda tu dostała? — spytała Ilona.

— O, to prosta rzecz — odpowiedziała dumnie pani Schnorr — dałam do gazet anons, że stare, bezdzietne małżeństwo chce adoptować młodą i dobrą dziewczynę, głównie sierotę. Łatwo sobie wyobrazić, że na takie widoki zgłosiło się mnóstwo dziewcząt. Było ich z tuzin, bez Matyldy.

Połowa z nich była nie do użycia. Te, które mi się podobały, zaopatrzyłam na swój sposób, a Matyldę zatrzymałam dla siebie, przekonawszy się, że przyda mi się w gospodarstwie.

— A czym ją skłoniłaś, aby u ciebie na stałe została? — spytała ciekawie Cyganka.

— O, nie było to trudną rzeczą — zaśmiała się Schnorr. — Gdy dziewczyna przybyła do Wiednia, przyjęłam ją z otwartymi rękami, ale równocześnie powiedziałam jej, że ta stara para wybrała sobie już pupilkę i że ona zgłosiła się za późno.

Dziewczyna zbladła jak ściana i omal że nie zemdlała, słysząc to. Jaka ja nieszczęśliwa! — lamentowała, załamując ręce — co ja teraz pocznę? Zaczęłam ją więc pocieszać, jak tylko mogłam, bo mam bardzo miękkie serce — chwaliła się pani Schnorr.

— Szczególnie dla siebie — szydził Schankel Pipa.

— Nie przerywaj mi ciągle w opowiadaniu, ofuknęła go pani Schnorr i zwróciwszy się do Ilony, zaczęła znowu:

Widząc Matyldę w takiej rozpaczy, rzekłam: Proszę się uspokoić. Póki panna u mnie, to niczego się bać nie potrzebuje. Czy panna ma rodziców? — Nie, odpowiedziała Matylda, byłam przy krewnych, którzy byli równocześnie moimi opiekunami. Nie chcieli oni w żaden sposób zezwolić na to, abym dom ich opuściła.

Nastawałam jednak na to, bo mi u nich bardzo źle było. Wtedy rozłościli się i powiedzieli, że mogę sobie pójść, ale oni mnie się wyrzekają i że nie śmiem nigdy więcej progu ich przestąpić.

— Jak tak dalej będziesz opowiadać, to nie skończysz do jutra — krzyknął Pipa zniecierpliwiony. — Ja to krócej zrobię. Otóż wmówiła ona w biedną dziewczynę, że się dla niej postara o dobrą posadę — zaczął Pipa, zwróciwszy się do Ilony — i naturalnie, że do dziś dnia nie znalazła.

Tymczasem była na utrzymaniu pani Schnorr, które było tak drogie, że Matylda od trzech lat już odrabia ten dług, ale dług jej ma tę właściwość, że coraz się zwiększa, zamiast się zmniejszać.

Ciąg dalszy na str. 897.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

OJCZYZNY WIERNYM SYNEM BĄDŹ!

Ojczyzny bądź wiernym synem
i Jej oddawaj cześć!
i dowódź zawsze czynem,
żeś SZTANDAR gotów nieść!

Naprzód idź poprzez życie,
poprzez cierniowy trud...
jak orzeł kołować w błękicie,
zwalczać miraże złud...

Nie wstydź się zgrzebnej szaty,
ni spracowanych rąk,
niech CNOTA wstąpi w twą chatę
i wola silna, jak dąb.

Musimy bowiem mężni być
i w sercu swym mieć Boga...
by zawsze w WOLNEJ POLSCE żyć
i nie przepuścić wroga — — —

— — — — — — —

Ojczyzny bądź wiernym synem
i Jej oddawaj cześć!
Musimy wspólnym czynem —
kaganiec oświaty nieść!!!

Jan Feliks Płóciennik.

ZAWÓD TRZEBA WYNAGRODZIĆ!

„Biała Różyczka". Ach, jak mi przykro, „Biała Różyczko", że nikt do Ciebie nie napisał! Zapewnie sympatycy nie zdają sobie sprawy, jak miło gawędzisz w swych listach i stąd pominięcie. No, ale to trzeba koniecznie naprawić, trzeba przykry zawód czymś wynagrodzić, pamiętajcie, Kochani! „Biała Różyczka" zrewanżuje się ślicznym liścikiem. Poza tym ta sympatyczna Panienka zdradza mi, że ma ogromną ochotę nawiązać korespondencję z „Wędrowną Chmurką", „Bolusią", „Dziewczynką z Rogoźna", „Uroczym Chłopcem", „Oneczkiem" i „Paganinim z Pałuk". Dziwi się też bardzo dlaczego tak uporczywie milczy „Dor - On". „Baśce spod Koła" dziękuje uprzejmie za pozdrowienia i prosi o liścik. To wszystko! Serdecznie, Kochaną „Różyczkę" pozdrawiam i oczekuję od Niej nowych wiadomości.

TO FAKT...

„Maleńka Lusia". Tak, to fakt — należy do „Krainy", a wkrótce już otrzyma Pani listy od nieznanych przyjaciół. Wyobrażam sobie radość Pani na widok pierwszego liścika! Proszę podzielić się znowu ze mną tą radością, „Lusieńko" i proszę o mnie nie zapomnieć.
Pozdrowienia dla „Maleńkiej Dzidzi", „Staszki", „Czarnego Hajduczka", „Samotnego Roma" i „Romantycznego Śpiewaka" — przekazuję!

„POCIĄGA MNIE KORESPONDENCJA Z NIEZNAJOMYMI"...

„Ada — Marzycielka". Piszesz mi, Kochana Dziewczynko, że w lecie życie Twoje jest urozmaicone różnymi wrażeniami, jednakże jesienią i zimą miejsce wrażeń zajmuje pustka i jednostajność. Teraz jednak, pragniesz mieć cały rok wesoły i zabarwiony na różowo, więc pukasz do „Krainy" z nadzieją, że ona pomoże Ci zyskać nowe wrażenia i przygody. Przypuszczam, że tak! „Kraina" bowiem to wielka czarodziejka. Niejednego wyrwała już z czarnej melancholii, niejednemu osłodziła samotność i przyniosła wiele miłych niespodzianek, więc niewątpliwie i Tobie się w czymś przysłuży.
A teraz maleńki wyjątek z listu naszej nowej Sympatyczki, w którym jest mowa o tym, „gdzie mieszka i jak wygląda":
„Spokojna, mała wioska położona nad jeziorem — oto miejsce, w którym zamieszkuję. W lecie jeżdżę po jeziorze kajakiem, a w zimie uprawiam sport łyżwiarski. Jestem bardzo wesołą istotą, ale, gdy trzeba potrafię być i poważną. Kocham piękno. Mam ciemne włosy i ciemne, marzące oczy. Wzrost średni. Szalenie lubię tanga, jak w ogóle taniec. Pociąga mnie korespondencja z Nieznajomymi, więc proszę o listy"...

NIC PODOBNEGO!

„Marteczka". Zaabsorbowała mnie ogromnie ta część listu Pani, w której pisze Pani, jakoby Jej znajomy opowiadał, że w numerze 6-tym „Moich Powieści" była zamieszczona moja fotografia. Nic podobnego! Przypuszczam, że w tym wypadku zaszło jakieś nieporozumienie. Proszę, niech mi Pani jeszcze coś o tym napisze...
Na zakończenie ślę Pani bardzo miłe pozdrowienia i zamieszczam Jej komunikaty:
„Zinku", zaszła jakaś pomyłka, prawda? Lecz... nie ja jestem jej winna. Chyba teraz będzie wszystko w porządku? Serdecznie pozdrawiam.
„Jancheli", proszę nie gniewać się, że milczałam. Może kiedyś napiszę niespodziewanie. Proszę myśleć o mnie dobrze!
„Bolku ze Śląska", co u Pana nowego? Pozdrawiam!
„Sportowiec — tenisa", dlaczego pominął Pan milczeniem mój list? Czyż nie zasługiwał na odpowiedź? Proszę o zwrot fotografii. Zdaje się, że widziałam Pana w Wyrzysku...
Miłe pozdrowienia ślę również „Barci", „Młodemu Orłowi", „Wiarusowi — Murzynkowi", „Rewelerssowi", „Wesołemu Cowboy'owi" i „Stachowi ze znina".
Halo! „Młodzianie"! Bywam często w Bydgoszczy, może się kiedyś spotkamy?"

DZWONY WIECZORNE

Dzień — ponad lasem słońcem kona —
coraz to ciszej — coraz senniej.
Jak gdyby smutek przedjesienny
przędzą niedoli pieśń omotał...
— a to w wieczornych płynie dzwonach
pieśń twej tęsknoty...
Drogi dalekie — drogi pobliskie.
Szkarłatny zachód ponad ścierniskiem —
Żal za minionym —
Za niepowrotnym — —
Za czyimś sercem niepokochanym,
w świecie samotnym —
— a to nad polem osieroconym
żalą się pieśnią wieczorne dzwony...
Pusto na polach.
Szaro i sennie —
smutki się wplotły
w mgły przedjesienne —
i płyną z pieśnią ptaszą strwożonych...
razem z wieczorną modlitwą
dzwonów...

Józef Baranowski.

TO SZCZĘŚCIE

„Zbijobruk poznański". Ależ Dziewczyno, raczej nie temperuj się nigdy — całe szczęście, że masz tę dziecięcą radość życia, że nie poddajesz się smutkom, ani żadnym przeciwnościom. Kocham Cię za to. Staraj się jak najdłużej być młodą i nigdy nie skostniej w zniechęceniu, czy innym pesymiźmie.
Pozdrów przy okazji swego dobrego przyjaciela — koleżankę — „Półdiable Weneckie".

„SZUKAM PRZYJAŹNI"...

„Dobra Mizi". Uprościłam nieco Twój pseudonim, Droga Dziewczynko, ale myślę, że nie będziesz miała o to do mnie żalu, wziąwszy pod uwagę, że w drugim wydaniu pseudonim brzmi daleko milej, niż w pierwszym. Chodzi Ci, Kochanie, o przyjęcie do „Krainy", a więc dobrze — przyjmuję Cię i przedstawiam „Krainiakom":
„Dobra Mizi", jak już wskazuje pseudonim, to prawdziwie anielskie stworzenie. Upodobania ma bardzo subtelne i ładne — muzykę, spacery w słońcu i kwiatowy ogród. „Mizi" tak pisze w swoim długim liściku:
„Szukam wśród ludzi serdecznej przyjaźni, ale tak o nią trudno. Byłam i jestem dotąd samotną. Czy będę dalej — nie wiem, bo „Kraina" podobno daruje takim samotnikom, jak ja, przyjaźń. Czekam więc na nią, tu, w moim małym, cichym miasteczku...
Bardzo milutkie pozdrowienia ślę „Danuśce z Pomorza", „Czarnulce z Grudziądza", „Lianie", „Duśce", „Iste - Wenus" i „Ziutce".

PRZECIWNIE!

„Czarodziejka". Absolutnie nie masz, Dziecko Drogie, myśleć, że nudzą mnie, a tym mniej niecierpliwią Twoje listy. Skądże, przeciwnie — nawet podzielam zdanie „Ziuteńki", że zbyt rzadko piszesz.
Wiersze Pani oddałam do Teczki Wujka Janusza — sądzę, że ocena nastąpi w jednym z najbliższych numerów.
Słusznie zauważyłaś, że nie mogła bym, a przede wszystkim nie chciała bym Pani „znielubić". To przykre słowo i w odniesieniu do „Krainiaków" postanowiłam je skasować.
Czy jesteś już zadowolona? Dobrze. Wobec tego przyjm proszę do wiadomości, że nawet bardzo dużo mam serca dla Ciebie i niecierpliwie oczekuję Twoich listów. Pozdrawiam serdecznie i przechodzę do komunikatów:
„Ziuteńko", co skłoniło do zainteresowania moją osobą? Dziękuję ogromnie — i — zobaczysz, jaki skutek tego!
„Biały Zwidzie". Czy znasz tanga „Zagrajcie mi"? Dawne to tango, ale śliczne i jeszcze coś — lecz milczę.
Jak najwięcej i najszczerszych ślę pozdrowień i zapewnień o moim przywiązaniu do „Krainy".

NAPISZ

„Mała Konwalijka". Otrzymałaś już — sądzę — moją pocztówkę. Napisz, jak mam załatwić sprawę „Moich Powieści".
Dziecko! Jesteś wszak dorosła, a piszesz mi wciąż tak nieopanowanie i tak rozpaczliwie, że już chwilami czuję się bezradna, ręce mi opadają i nie wiem, co Ci powiedzieć, co poradzić, abyś poczuła się wreszcie inaczej.
Skup się proszę i całą wolę pchnij w jednym upragnionym kierunku — chyba Ci się spełni to wymarzone, wytęsknione.
Nie wiem już, jak Cię pocieszyć — doprawdy, że nie wiem!
Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i przesyłam Ci wszystkie moje dobre myśli!

BOMBARDUJEMY!

„Figlarka" i „Wiaruska" tak mniejwięcej przemawiają do mnie:
„Prosimy bardzo o przyjęcie nas do grona miłych „Krainiaków". Mamy wrażenie, że nie odmówi nam Pani i nas także otoczy swym dobrym sercem i troskliwą opieką.
Bombardujemy więc całą siłą do serca Pani i prosimy o przedstawienie nas „Rodzince".
„Figlarka" i „Wiaruska" są obie — podług oceny ogółu — bardzo miłe, lubiane i prawie zawsze tryskające humorem. Podobno wcale przystojne i niebrzydkie.
Pragniemy zawrzeć miłą korespondencję w ucieczce przed nudą długich zimowych wieczorów.
„Figlarka" prosi o liścik „Pata", który — jak wywnioskowała z prezentacji — jest pełen życia i humoru. Niechże przełamie te lody wstydliwości i odezwie się pierwszy, a na pewno mu odpowiem.
Interesuję się wszystkim. Lubię dobrą lekturę, muzykę, kino, teatr itp. Zainteresował mnie także „Fakir" — może coś napisze?
„Wiarusce" podoba się „Patachon" i „S. B." z Mogilna. Czeka na zainteresowanie się jej osóbką.
„Mała Konwalijko" — podobasz się nam. Przyjm moc uścisków!"
Myślę, że Wasza własna prezentacja wystarczy. Ja już nie mam co dodawać — pozostaje mi tylko życzyć przyjemności w korespondencji i pozdrowić serdecznie.

NOC JESIENNA

Wiatr uporczywie zawodzi... płacze...
Echo o litość na próżno żebrze:
Jęk — jakby nędzarz — w szyby kołacze,
Odchodzi zwolna — i znów powraca.

Pod przerywanym wciąż wiatru tchnieniem
Gną się w ogrodzie w krąg wszystkie drzewa
...Jak widma — straszne jakieś wspomnienia
Wracają z dali. A wiatr im śpiewa...

Danuta Wyrybkowska.

SZKODA!

„Bursztynowe Serduszko“! Kochana Krysiu! Szkoda! — oto, co mogę powiedzieć po przeczytaniu Twego liściku. Jeżeli słowa te dojdą do Twej wiadomości, to wiedz, że często będę myślała o Tobie i z tęsknotą oczekiwała chwili, w której do nas powrócisz.

„Komunikaty“ Twoje, aczkolwiek trochę obszerne, chętnie zamieszczam. Przed tym jednak, ślę Ci ostatnie pozdrowienia i serdeczne słowa pożegnania.

„Elżuniu“, całuję Twoją kochaną buzię i do szybkiego spotkania się w Brodnicy.

Milutkiej Moni i Jej Siostrzyczce ślę już ostatnie słowa: „Nie zapominajcie o mnie“...

„Zapomniana Syleno“, przesyłam i Tobie ostatnie pozdrowienia. „Mulatko“, nie zapomnę nigdy! Wspomnij mnie kiedyś i bądź pewną, że wrócę...

„Czarnooka Wando“, przesyłam Ci miłe pozdrowienia i postaram się zobaczyć z Tobą gdy będę w L........ Czy to Cię cieszy?

„An - Ka“, życzę dużo dobrego. Może Pan kiedyś będzie na manewrach to się spotkamy.

„Janek z K. O. P.-u“, niech przyjmie ode mnie milutkie pozdrowienia. Ślicznie się do Niego uśmiecham i proszę, aby kiedyś pomyślał o mnie.

„Pani Lusieńko z Pucka“, bardzo mi przykro, że musimy się pożegnać, ale wierzę, że rozłąka wcześnie się skończy i znowu się spotkamy.

„Pepi w mundurku“, co obecnie porabiasz?

„Stellu“, jeżeli mi zdradzisz, kiedy obchodzisz imieniny, otrzymasz ode mnie w ten dzień list. Przyjm milutkie pozdrowienia!

Wszystkim Sympatykom z Grudziądza, a szczególnie „Iksuni z Grudziądza“ ślę miłe uśmiechy.

„Rose - Marie“, „Białej Uajali“, „Córce Wichru“, „Złoteńku“ i „Brzydkiej Lei“ — moc pozdrowień.

ZAPOMNIJ O PIÓROWSTRĘCIE!

„Półdiable Weneckie“. Przypominam sobie Panią, a jakże! Wiem między innymi, że strasznie chorujesz na wstręt do pióra — a mnie sprawia to osobistą przykrość, bo nie lubię, gdy moje pociechy zbyt długo każą czekać na nową wiadomość o sobie.

Czy ktoś „machnie“ list do Ciebie? Myślę, że nie jeden i drugi, ale cała okrągła dziesiątka „Krainiaków“ z radością to uczyni.

Życzę Ci przyjemności i przechodzę do komunikatów:

„Zrównoważony“ — boję się pierwsza napisać, ale może Pan to uczyni?

„Skrzywdzony Poznańczyku“. Dziękuję za pozdrowienia i komunikuję, że najlepiej „Guzik“ robić sobie z wszystkiego i śmiać się od ucha do ucha, jak ja.

Łączę miłe pozdrowienia dla „Erosa“ — ja także dużo kajakowałam.

Dla „Czarnego Pirata“ również słowa pamięci.

„Waldy“ — Włodek wyjechał za granicę, lecz pewnie nie o tego chodzi?

„Głos Serca“ — czy Pana pamięć zawodzi?

Wszystkich „Krainiaków“ pozdrawiam serdecznie!

POZDRAWIAM

„Polna Różyczka“. Chętnie zamieszczę Twój komunikat, zaś gdy chodzi o sprawę przesyłki listów, to niestety, jest ona, jak słusznie zauważyłaś, droga. Tylko, że „Krainiacy“ na ogół przesyłają listy do mnie, a przy nich inne dla „Krainiaków“. Nie chodzi im o podwójny znaczek. Inaczej się to załatwić nie da — to trudno. List należy zaadresować i, dołączywszy znaczek — zakleić w kopercie zaadresowanej do naszej redakcji. Kopertę tę trzeba również opłacić.

Pozdrawiam Panią serdecznie.

„Halo! „Jasiu - Sokole“ — list odebrałam, odpowiedź będzie z końcem b. mies. na poste-restante Grudziądz, dla „Jasia - Sokoła“.

Zasyłam pozdrowienia dla całej „Rodzinki“ i proszę o kilka słów „Wirryta“ i „Erosa“.

CZUJĘ SIĘ OSAMOTNIONY

P. W. S. Słuchajcie „Krainiacy“, co pisze nowo przyjęty Wasz braciszek.

„Czy ktoś z Panów Czytelników chciałby nawiązać ze mną nić przyjaźni?

Mam lat 21, włosy ciemno - blond, oczy niebieskie, wzrost średni.

Kocham bardzo przyrodę. Gdyby nie przyroda — życie straciło by dla mnie wartość.

Czuję się osamotniony. Mam wszystko prócz przyjaciela — może przeto mój apel dotrze do człowieka równo samotnego i żądnego przyjaźni i może się zrozumiemy.

Adresować proszę: Wu S. A. nr. 7.276.123 poste - restante Toruń 1.

Pozdrawiam Pana i życzę mu powodzenia!

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Iste Venus“. Bardzo kochana jesteś, bardzo! Wierz mi, że Wujek Janusz nie z własnej winy odpisał na list, który należał się mnie. Widocznie przez pomyłkę włożyłam mu do teczki Twój list. Nie gniewaj się — proszę — o to więcej. Jest mi już dostatecznie przykro. Uśmiechnij się, Maleńka Moja, i nie smuć się z powodu życzliwej Ci zawsze Zofii, opiekunki „Krainy“.

Tak pięknie i tak wymownie wyrzucasz mi moje rzekome zapomnienie, że zaczynam czuć się winną, jakkolwiek ani myślałam zapominać o Tobie. Tylko — Dziecino — nie mów, że Cię skrzywdziłam — przecież fakt przeoczenia jednego listu nie może być krzywdą!

Teraz już będę sama oceniała Twoje wiersze, aby nie zdarzyła się nowa podobna historia.

Wierszyk Twój umieszczam. Wprawdzie nie jest on pełnowartościowy, lecz na pewno da moment wzruszenia osobie, której go poświęcasz.

Panu T. Chojnackiemu
poświęcam.

* * *

Przebacz, że piszę skromnie, tak mało,
Że słowom piękna brak i natchnienia...
Za to chciej przyjąć wiązankę całą
Słów najgorętszych, słów mych życzenia.

Kto jestem i skąd? — o to nie pytaj...
Zbyt dobrze dusze nasze się znają,
By z nich tajemnic tych nie wyczytać,
Zbyt dużo listy wyrazu mają...

„Iste Venus“.

CHĘTNIE

P. N. Chętnie przyjmuję Panią do naszego grona w charakterze „rozwiązywacza“, „Chwili zastanowienia“.

Na początek muszę zaznaczyć, że tam, gdzie dopatrywała się Pani chochlika drukarskiego, w rzeczywistości był inny wyraz. Konkluzja stąd taka, że rozwiązanie Pani nie było zupełnie trafne. Proszę dobrze przeglądnąć uprzedni numer „Moich Powieści“, a stwierdzi Pani na czym polegała różnica rozwiązania. Lecz proszę się nie zrażać tym lapsusikiem — na przyszły raz na pewno Pani rozwiąże trafnie.

Pozdrawiam Panią b. serdecznie i wyznaję, że chętnie ujrzę Panią nie tylko w gronie „rozwiązywaczy“, ale i „Krainiaków“.

NAPISZ!!

„Maruta“. Rzeczywiście, że los dziwne czasem sprawia rzeczy. Byłam i zaskoczona i wzruszona niepomiernie Twoją nowiną. Uważam, że dobrze postąpiłaś, tymbardziej, że podzielam Twoje poglądy na tę sprawę. Na jedno wszakże zwracam Ci uwagę, postępuj w myśl postanowień i przyrzeczeń, które złożyłaś samej sobie w ten dzień ważny i nieodwołalny. Myśl już tylko nad tym, jakby zamienić ofiarę w uczucie wielkie i święte. W uczucie, które daje szczęście niejednostronne, lecz wspólne i naprawdę głębokie.

Napisz mi proszę dużo o swoim obecnym życiu i postaraj się nie zapominać o „Krainice“.

Całuję Cię serdecznie i przesyłam najgorętsze życzenie szczęścia!

„Halo! „Czarny Hajduczku“ — życzę Ci wszelkiej pomyślności w życiu i odwzajemniam pozdrowienia. Sieńka mówi, że jesteś piękna jak słońce.

Wszystkim Paniom, które mi przesłały pozdrowienia serdecznie je odwzajemniam.

„Kraterowi II“ dziękuję za braterskie pozdrowienia.

Wszystkim Sympatykom, którzy o mnie pamiętali dziękuję i „pa“!!!

Teczka Wujka Janusza

WIERSZE SŁABE

„Julika“. Ogromnie nieporadne i naiwne! „Juliko“, to wielka odwaga z Pani strony, twierdzić, że wiersze Pani są bardzo dobre! Moje zdanie jest inne, prawda? A jednak słuszniejsze!...

Za pozdrowienia dziękuję i bardzo mi miło, że tyle sentymentu czuje Pani do naszego pisma. Proszę, niech Pani znowu napisze!

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM...

P. Tadeusz R. z O. Panie Tadeuszu! Tak, jak Pan sobie życzy, przeznaczyłem na okładkę wierszyk — „Okno“, a „Świt“ do „Teczki“. „Tancerka“, „Żegnaj“ i „Noce“ — na razie odłożyłem, gdyż zaliczam je do słabszych utworów. Żegnam Pana bardzo miłym uściskiem dłoni!

ŚWIT

Na niebie księżyc bladł
I gasło gwiazd tysiące.
Nocą spowity świat
Czeka na słońce.

Jakaś niepewność czai się
W mgle sino - szarej.
Różowy świt już brnie
Dalej i dalej.

Rosą znaczy swój ślad,
Na trawach krople rosy.
Różowy świt — dnia brat
Cichy i bosy.

Tadeusz Rawicki.

POLECIŁEM WYSŁAĆ ADMINISTRACJI

P. H. J. Numery, o które Pani prosi — poleciłem wysłać administracji. Wiersze zawsze te same — niewyrobione i blade. Ale przecież... kiedyś będą lepsze, prawda?

WIEM JUŻ TERAZ NA PEWNO...

„Czarodziejka“. Coraz ładniejsze są Pani wierszyki! — z przyjemnością to stwierdzam. I wiem już teraz na pewno, że będę miał w Pani dobra i wartościową współpracowniczkę. Czy jest Pani z tego zadowolona? Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam!

BABIE LATO

Babie lato... pajęczyna...
w pajęczynie — muszka drży —
w przędzy marzeń śni dziewczyna:
o miłości słodkie sny!

Babie lato w pól przestrzeni,
w ciszę, w jasności, w błękit, w dal,
płynie lekko — i się mieni:
tęczą w smudze złotych fal.

Babie lato... a dziewczyna
śle westchnienie w jasną dal —
sny zasnuła pajęczyna...
i... przeminął marzeń czar.

Babie lato... pajęczyna...
w pajęczynie rosa lśni —
z ócz ociera łzę dziewczyna,
..bo jesienne są jej sny.

„Czarodziejka“.

Raj kobiet



Na powyższym zdjęciu podajemy kilka modeli skromnych fartuszków gospodarskich, wykonanych z kolorowych płócienek i kretoników w paski i grochy. Kroje powyższe można nabyć w naszej administracji w cenie jeden złoty za sztukę

Równouprawnienie kobiet w różnych krajach

W Polsce równouprawnienie kobiet obejmuje wszystkie dziedziny życia społecznego.

We Włoszech, gdzie nie było równouprawnienia, ideologia faszyzmu narzuciła kobietom obowiązek pracy społecznej, dała im stowarzyszenia i obowiązki pozadomowe. Równouprawnienie polityczne jest wykluczone. Na czele oddziałów prowincjonalnych ogólnokrajowej organizacji kobiecej, stoją mężczyźni. Organizacja ma sobie powierzone trzy dziedziny pracy: opiekę nad matką i dzieckiem, opiekę społeczną, ujętą raczej filantropijnie, oraz udział kobiet w sporcie — wychowanie fizyczne.

W Szwajcarii sprawa stoi na martwym punkcie, bo równouprawnienie kobiet wymaga tam wniosku podpisanego przez określoną liczbę kantonów i przeprowadzenia głosowania plebiscytowego, w którym wniosek upadłby bez wątpienia.

W Belgii mają prawo głosu tylko kobiety, które są głowami rodzin.

W Niemczech cofnięte są prawa dostępu do wyższych uczelni, ograniczono go procentowo i obowiązkiem odbycia służby pracy na roli. Stowarzyszenia rozwiązane, a na ich miejsce utworzony jeden ogólnokrajowy związek z podziałem terytorialnym.

We Francji mimo uchwał izby niższej — ustawa utknęła i nie zanosi się na dopuszczenie kobiet do parlamentu.

Turcja wprowadziła po przewrocie całkowite równouprawnienie kobiet. I... w 1935 r. zamknęła wszystkie organizacje kobiece, bo kobieta turecka będąc równouprawniona nie potrzebuje osobnych organizacyj. Podobna sytuacja była po wielkiej wojnie w Czechach, gdzie kobiety same zawieszały działalność organizacyj, sądząc, że walka ustała. A wkrótce okazało się, że od praw wyborczych był tylko krok do zagwarantowania równych praw w życiu, ale nie ustalenia ich. I stowarzyszenia powstały na nowo.

Cofanie uzyskanych po wojnie praw ze stanowisk daje się zaobserwować nawet w takich państwach jak Stany Zjednoczone. Mianowicie obecnie po raz pierwszy w szkolnictwie Ameryki wprowadzani są mężczyźni na stanowiska kierownicze w College'ach żeńskich (wyższych uczelniach specjalnie kobiecych). W Europie, poza Turcją, jedynie północ: Finlandia, Szwecja, Norwegia, Anglia kroczy na czele życzliwego traktowania sprawy kobiecej.

Teraz wysiłek stowarzyszeń kobiecych angielskich idzie w kierunku uzyskania dla kobiet dostępu do służby dyplomatycznej.

DOBRA GOSPODYNI

Jarmuż. Jarmuż najlepszy jest, gdy zmarznie trochę. Obrać listki, czysto wypłukać, usiekać i włożyć do rondla. Podlać trochę wodą, włożyć wytopionego tłuszczu z słoniny, utrzeć parę marchwi, zmieszać z jarmużem, posolić i gotować do miękkości. Gdy miękki, zasmażyć masła z mąką i zaprawić go. Można dla smaku dodać odrobinę cukru. Obłożyć ozorem wędzonym, szynką, kiełbaskami lub kasztanami. Można też gotować z wieprzowiną świeżą lub wędzoną, a godzinę przed wydaniem dodać trochę kaszy jęczmiennej.

Kalafiory. Kalafiory powinny być białe, kwiat ścisły i twardy. Obrane z wierzchniej skórki, płókać w zimnej wodzie, dolewając trochę octu, aby liszki i robaczki ukryte w środku, wyszły na wierzch. Wrzucić do gotującej się wody na pięć minut, aby się dobrze sparzyły, następnie odlawszy z pierwszej wody, nalać drugą, także gotującą, osolić, dodać trochę cukru i gotować mniejwięcej pół godziny, aż będą zupełnie miękkie. Wydając, wyjąć łyżką durszlakową, ułożyć na półmisku kwiatem do góry. Polać masłem z zarumienioną bułeczką, albo z żółtym sosem holenderskim.

Kalafiory „au gratin". Ugotować kalafiory, sparzywszy je poprzednio, odcedzić na sicie i dusić na maśle w rondelku. Obsypać ze wszystkich stron parmezanem, włożyć do srebrnego rondelka i polać sosem beszamelowym ze słodkiej śmietanki, posypać parmezanem z tartą bułką, polać rozpuszczonym masłem i wstawić do pieca dla zarumienienia. Podać w rondelku, można to też zrobić w porcelanie, stawiając w piec na blachę, warstwę piasku lub cegłę.

Kapusta świeża na kwaśno. Poszatkowaną kapustę sparzyć gotującą wodą i zostawić tak 10 minut, potem odcedzić, włożyć w rondel, podlać dobrze rosołem, wlać kieliszek winnego octu, 1/8 kg smalcu lub masła, pieprzu, cebuli i dusić mniejwięcej dwie godziny na wolnym ogniu pod pokrywą. Gdy miękka, wsypać trochę cukru, zagotować łyżkę masła z łyżką mąki i zaprawić tym kapustę.

Kapusta na kwaśno z jabłkami. Przygotować kapustę tak samo jak poprzednią, lecz zamiast octu włożyć kilka kwaśnych ostruganych jabłek. Gdy kapusta miękka, a jabłka rozgotowane, zaprawić jak wyżej.

Świat i życie

Kat z więzienia Sing-Sing

Ten dziwny człowiek należy do założycieli amerykańskiego towarzystwa opieki nad zwierzętami. Jest on członkiem wszystkich pacyfistycznych organizacyj w kraju, nazwiska jego nie brakuje nigdy tam, gdzie pada hasło „Nigdy więcej wojny"! Należy on do amerykańskiego Czerwonego Krzyża i wszystkie komitety dobroczynności znają jego szczodrobliwość.

Nie jest on ani królem kauczuku, ani też właścicielem wielkich fabryk konserw mięsnych. Nie rozporządza setkami tysięcy dolarów. W książce telefonicznej figuruje on krótko i poprostu jako Robert Elliot, elektrotechnik.

Jest to jednak elektrotechnik szczególnego typu. Obsługuje on elektryczne krzesło w Sing-Sing.

Od czasu rewolucji francuskiej kat we Francji, który ścina głowy przy pomocy gilotyny, nosi nazwę „Monsieur de Paris". Kat w Stanach Zjednoczonych bywa nazywany „Dżentelmenem z Sing-Sing".

Określenie to jednak nie wyczerpuje pojęcia zawodu pana Elliota, który nie tylko w Sing-Sing dokonuje egzekucyj, ale również czynny jest na terenie wszystkich więzień, w sześciu stanach Unii.

Robert Elliot jest starannie, choć dyskretnie ubranym mężczyzną średniego wzrostu, a wiek jego trudno określić na pierwszy rzut oka. Robi wygląd prowincjonalnego bankiera.

Istotnie też można powiedzieć, że Robert Elliot, jest człowiekiem odpowiedzialnym, o ile chodzi o kredyt. Jego honorarium za każdą egzekucję wynosi 150 dolarów, a w ciągu ostatnich dwu lat dokonał on około 200 egzekucyj — jak podkreśla to z naciskiem we wszystkich rozmowach. Twierdzi, on, że puszczony przez niego prąd elektryczny zabija ofiarę w ciągu drobnego ułamka sekundy, chociaż lekarze sądowi dopiero po trzech minutach przystępują do zbadania ciała skazańca i stwierdzenia śmierci.

Robert Elliot dumny jest z tego, że nigdy się nie zdarzyło przy traceniu skazańca, aby fotel elektryczny zawiódł. Przypomina sobie tylko jeden taki wypadek i to nie ze swojej praktyki, tylko swego kolegi, Williamsa.

Elliot opowiada, że większość skazanych na fotel elektryczny idzie na śmierć z zupełną rezygnacją i zachowuje się całkowicie spokojnie. Dwaj głośni anarchiści Cacco i Vanzetti szli na śmierć nawet z uśmiechem, a dżentelmen z Sing-Sing rzucił im słowa „szczęśliwej drogi".

Bruno Ryszard Hauptmann, morderca dziecka Lindbergha, siedząc na fotelu elektrycznym, powiedział „Do widzenia" i to były jego ostatnie słowa.

„Dżentelmen z Sing-Sing" jest głęboko przekonany, że elektryczne krzesło jest najłagodniejszym sposobem wyprawiania skazańców na drugi świat. Skazańcy są jednak innego zdania. Stan Utah wprowadził prawo pozwalające skazańcom wybierać rodzaj śmierci. Na 20 skazańców jeden z nich wybrał szubienicę, a 19-tu prosiło o śmierć przez rozstrzelanie. Elliot nie może tego zrozumieć.

Reporterom amerykańskim, którzy go niedawno odwiedzili zwierzył się, że nie znosi widoku krwi...

Ze świata

Jakie meble będziemy mieli za sto lat?

W Wiedniu odbył się interesujący odczyt lekarski docentki uniwersytetu wied. Twierdzi ona, że w roku 2037 nie będzie starych kobiet. 50-letnie wyglądać będą jak dziś 25-letnie. Dzięki wytężonej i ofiarnej pracy lekarzy, znikną choroby żółci i t. d. Kosmetologia, doprowadzona do doskonałości, usunie, względnie zapobiegnie tworzeniu się zmarszczek, zwiotczeniu skóry i mięśni. Sztuczne środki upiększania, jak róż, puder i t. p. znikną z gotowalni pięknej pani, bo będą zbyteczne.

„Już w kołysce" rozpocznie każda kobieta racjonalną pielęgnację swej urody i dlatego będzie wiecznie młodą i piękną. Rezultatem badań nad siwizną będzie wynalezienie środka do utrwalenia barwnika włosów i zapobiegania ich siwieniu.

A jak będzie wyglądało gospodarstwo domowe w roku 2037? Nieco inaczej, niż dziś. Kuchnia będzie zelektryfikowana. Gotowania jednak nie zastąpią jakieś pastylki, ekstrakty lub inne wynalazki, albowiem jedzenie wybrednych potraw jest zbyt wielką rozkoszą dla wielu ludzi, by zechcieli się tego kiedykolwiek wyrzec. Zbytecznym stanie się jedynie mycie naczynia. Albowiem naczynie sporządzone będzie z papieru, estetycznie, na wzór miśnieńskiej porcelany. Cena jego będzie znikoma, to też po jednorazowym użyciu wrzucać się je będzie do elektrycznego pieca i palić, by do następnego jedzenia wyciągnąć znowu z szafy naczynia nowe i czyste.

Meble będą szczytem doskonałości, tak pod względem higieny, jak i wygód. Oświetlenie i opał mieszkania będą tylko elektryczne.

Zawartość bieliźniarki eleganckiej pani będzie z papieru. Kombinacja z papieru niczem się nie będzie różniła pod względem piękności od „krepdeszynowej", ozdobionej koronkami. A koszulka nocna — istne cacko — również z papieru! Chusteczka do nosa papierowa, będzie milsza niż z delikatnego batystu. Rzeczy te będą tak tanie, że każdego wieczora pani rzuci je do pieca, by rano „od stóp do głowy" odziać się w nową czystą bieliznę.

W końcu swego odczytu wiedeńska lekarka zaznaczyła, że zapewne do roku 2037 nastąpią lepsze warunki gospodarcze, powiększy się znacznie liczba małżeństw i rozwinie życie rodzinne. Będzie to wiek rozkwitu macierzyństwa. Jasnowłose „bobo" z 2037 roku, chowane w warunkach idealnej higieny, będzie się cieszyło, że nie w naszym wieku, lecz o sto lat później, ujrzało światło dzienne.

Okręty-widma niosą śmierć marynarzom

Morze Sargassa ma już ustaloną opinię jako kraina dziwów. Tam płyną wyludnione wraki, choć niekierowane ludzką ręką na „wieczny spoczynek". Stamtąd też w ciemną burzliwą noc wypływają okręty-widma i oznajmiają śmierć marynarzom.

Morze Sargassa jest od niepamiętnych czasów wplątane w opowieści przygód żeglarskich. Przypomnijmy sobie choćby tylko mitologiczną wyprawę Argonautów po złote runo.

Morze Sargassa jest cmentarzyskiem okrętów... Zdradliwy prąd unosił statki uszkodzone w czasie burzy, by złożyć je na miękkim posłaniu olbrzymiego lasu wodorostów. Obecnie morze to dzięki postępom techniki nie jest już taką groźną pułapką dla okrętów, jak dawniej. Mimo to od czasu do czasu porywa jeszcze nowe ofiary.

Morze Sargassa, jedno z najmniej znanych posiada niezwykle ciekawą florę i faunę. Przede wszystkim olbrzymie wodorosty, największe rośliny, jakie kiedykolwiek rosły na świecie, następnie nigdzie niespotykane ryby.

W tej dziwnej okolicy żyje ryba tzw. Gumaris, która ma jeden z obyczajów ludzkich, a mianowicie: samiec tego gatunku ryb.. całuje swoją wybraną. Inicjatywę do tego daje oczywiście samiec, który upatrzywszy sobie „damę serca" zbliża się do niej wywinąwszy wargi do pocałunku. W razie, gdy samica niezbyt prędko zdecyduje się oddać pocałunek, to mało rycerski ów „Don Juan" zmusza ją do tego bolesnym ukłuciem.

W tych samych stronach żyje inna osobliwość — ryba śmierci (stemarehius). Udaje ona już za życia trupa, pływa bowiem na grzbiecie lub boku, co ryby zwykle czynią po zdechnięciu.

Krajowcy uważają ją z tego powodu za zwiastuna śmierci. Ma ona jeszcze inny zwyczaj. Lubi się oprzeć ogonem o dno, a pyszczek wystawić na powierzchnię, potrafi też tak „stać" godzinami.

Niezwykły związek

W mieście Miskolcz, położonym na Węgrzech środkowych, żadna z zawiedzionych pań nie mogła wygrać procesu o alimenty. Na rozprawę zjawiała się zawsze grupa świadków, która pod przysięgą zeznawała, że „uwiedziona" prowadziła lekkomyślny tryb życia, wobec czego skargę każdej z „uwiedzionych" z reguły oddalano.

Jedna z pań, nie poprzestając na wyroku oddalającym jej skargę, poleciła swemu adwokatowi wyświetlenie okoliczności tego wyroku. Adwokat zdołał wykryć, że w mieście istniała grupa ludzi, która za opłatą 15 pengö gotowa była przysięgać na każdą okoliczność. Kilku ze świadków, wynajmowanych przez „gentelmanów" z Miskolcza, aresztowano. Poza tym wszystkie procesy o alimenty z okresu ostatnich trzech lat muszą ulec rewizji.

Ksiądz Marcin

NOWELA

W Kempinowie dzisiaj gwar taki, jakiego nawet państwo Kempińscy u siebie dawno nie mieli. Bo tak się złożyło, że i pana Zygmunta Kempińskiego imieniny i Zosia, córka, ukończyła lat 25 i wreszcie też sama Zosia powróciła po studiach w domowe pielesze.

— Panienka tera hadwokat — mówią ludzie i trochę z podziwem, trochę z niewiarą czapkują nisko, ale który tam starszy, to się i uśmiechnie pod wąsem znacząco i nawet mruknie do sąsiada po mszy przy kościele:

— Abo to prawdo? Bedo tam noma starym takie brednie bajtlować! Baba hadwokatem! Choć to niby i panienka nie bele chto, ale zawdy...

A panienka wie nawet, że jej nie wierzą. Wie, ale się tylko śmieje i te swoje chrapki dwie rozdyma, że jej mało nos nie pęknie. Harcują po całych dniach obie z koleżanką, bo panna Zosia przywiozła do domu bardzo ładną panienkę — Steńkę. Steńka też jest „hadwokatem", to znaczy również ukończyła prawo w Warszawie, a ponieważ chce mieć swobodne wakacje, a z Zosią nadzwyczaj się lubią, bo sobie „przypadły do serca", więc się wcale nie dała długo prosić i na zaproszenie panny Kempińskiej napakowała walizkę „z czubem" i już jest w Kempinowie.

— Na całe lato — kończy Zosia, ilekroć Steńka opowiada historię swego tutaj przyjazdu.

Dzisiaj panienki niestety muszą raz nareszcie zmienić swoje sportowe sukienki na coś wieczorowego, bo rodzice naprosili gości, że nie wiedzieć nawet, gdzie się pomieszczą. Co prawda, nie było koniecznym spraszanie tych ludzi, bo choć to i dobrzy znajomi i serdeczni sąsiedzi, ale milej było na powietrzu, wśród lasów i na pastwiskach. Tak cudownie na świecie, choć pachnie już dobrze jesienią, tak szepcą wiatrem liście drzew, tyle radości wszędzie i kwiatów, aż się oczy rozbiegają na wszystkie strony.

Ale trudno, trzeba wracać z przyjemnej przejażdżki konnej do domu. I tak jest już późno i mamusia gniewać się będzie.

Panienki prędko się przebierają, myją, trochę tam poprawiły niedokładności z twarzy, przypudrowały się i już są na ogólnej sali.

...Nareszcie... Goście naturalnie wszyscy już są, witają się, podziwiają panienki, czują się swobodnie, jak w dużej rodzinie.

Jeden tylko ksiądz Marcin po raz pierwszy jest w tym gronie. Parafię w Kempinowie objął niedawno, zakopał się w pracy i nie chciał nigdzie bywać, ale go pan Kempiński gwałtem za rękaw od sutanny do domu przytaszczył i nie było na to żadnej rady.

— Przyjść — to i przyjść, ale co robić — rozmyślał młody proboszcz.

Na szczęście zbrakło czwartego do bridge'a. Ksiądz Marek korzysta skwapliwie. Siadają gdzieś w kącie i zaczynają grać, właśnie kiedy panny zjawiły się wśród gości.

Ksiądz Marcin słyszy srebrny śmiech Steńki i nagle krew ucieka mu z twarzy, cofa się gwałtownie i ma twarz bladą, jakby marmurową. Wlepia wzrok w waleta pikowego, którego ma w ręku i naraz z kryzy na jego kołnierzu buduje się fasada gmachu uniwersyteckiego. Ksiądz widzi teraz wyraźnie szerokie schody i słyszy gwar młodzieży studenckiej. I widzi siebie, (jakże inaczej wtedy wyglądał) jak podchodzi do niej, do swojej Steńki, jak czuje miłość swą wielką, która mu rozsadza serce. Słyszy, jak serce to bije mocno, aż do bólu, a Steńka śmieje się głośno i woła:

— Panie kolego, porzućcie amory, bo wam opowiem bajkę o psie i kiełbasie...

Marcin wie, że Steńka jest trzpiot, że powiedziała to nie ze złego serca, ale po co, po co mówiła wtedy, kiedy on z taką miłością na nią patrzył, kiedy pełno młodzieży ich otaczało, kiedy koledzy spoglądali na nich porozumiewawczo.

I czemu powiedziała to wtedy, kiedy na świecie była taka piękna wiosna. Przecież słowom jej powinien być akompaniamentem poszum deszczu i huk wichrów, by drżały fasady domów, by cała natura zharmonizowała się z nim, Marcinem, w poczuciu grozy i pustki, jakie dało mu te jej kilka błahych napozór słów.

Ksiądz Marcin patrzy nadal uporczywie w swego waleta pikowego i widzi jak on, student, odwraca się i wchodzi z powrotem do gmachu. Zdala poza sobą słyszy huragan śmiechu, a z każdego kąta korytarza wygląda wstrętnie roześmiana, drgająca z uciechy, ohydna twarz Ironii.

Pan Marcin i panna Steńka! — ryczą w niepohamowanym śmiechu koślawe cielska.

I nagle pan Marcin z przerażeniem spostrzega, że i on sam zaczyna im wtórować śmiechem dziwnym i że z każdą falą tego śmiechu spływa do jego serca coś niedobrego. Czuje, jak serce to z pięknego, miłującego przekształca się w jakąś niekształtną, pomarszczoną, złą masę.

Pan Marcin, kochając — zaczyna nienawidzieć!

Burza huczy wokół pana Marcina i huczy w jego duszy biednej, przerażonej tym odkryciem w sobie nienawiści, ale oto na kryzie waleta pikowego narastać zaczynają jakieś szare mury, a wraz z nimi wokół staje się cicho i coraz spokojniej. Jakieś mgły zaczynają się unosić sine wokół tych murów, a we mgłach tych, jako w dymach kadzideł pythyjskich giną zwolna dawne, bolesne wspomnienia. Serce kleryka Marcina staje się podobne do dawnego, tylko smętne i pełne zadumy.

Ale już jest dobrze, o jakże dobrze i spokojnie!

I oto nagle w kryzie waleta pikowego widzi ksiądz Marcin swoją twarz obecną i widzi, jak wykrzywia ją dawny, niedobry grymas. Wtedy usta księdza szepcą zwykłą, krótką modlitewkę i pod jej wpływem oczy tego z kryzy waletowej stają się dobre i przebaczające, usta układają się do uśmiechu i świadomość przenika myśl weselna:

Zwyciężyłem Szatana nienawiści!

* * *

Ksiądz Marcin kładzie karty na zielone sukno stolika, podnosi się i mówi do zbliżającej się właśnie Steńki:

— Spotykają się, panno Stefanio, dawni dobrzy znajomi. Ale — dodaje cicho — o rzeczach umarłych aut nihil, aut bene, prawda?

Tatiana Wójcikowa.

Wejście Matyldy przerwała tę rozmowę. Pipa wypił prędko dwie flaszki piwa, potem rzekł ziewając:

— Zjadłem i wypiłem już, teraz mogę położyć się spać!

— Matyldo — rzekła pani Schnorr — ty będziesz dziś spała z Emą, tę obcą dziewczynę położymy do jednego łóżka z Lizą, a pan Pipa będzie miał twoje łóżko!

— Ani mi się nie śni położyć się do twardego łóżka Matyldy — mruknął Pipa — ja zajmę dziś twoje, szanowna pani Schnorr.

. . . .

Matylda wprowadziła Cygankę do pokoju, w którym stało 6 łóżek. Wszystkie one zajęte były przez młode, piękne dziewczęta, które obecnie pogrążone były w głębokim śnie.

— Gdzie jest reszta? — spytała Ilona.

— Pani Schnorr nie przyjmuje u siebie nigdy więcej jak sześć — odpowiedziała Matylda — resztę umieszcza u swoich znajomych.

Potem pochyliła się nad łóżkiem, w którym spoczywała jedna piękna, jasnowłosa dziewczyna i szepnęła:

— Proszę posunąć się trochę, Lizo, aby ta nowoprzybyła panienka także tu położyć się mogła.

Elza pół we śnie jeszcze zapytała:

— Czy już czas wstawać?

Matylda powtórzyła swoje żądanie, a rozbudzona już Liza obrzuciła Ilonę badawczym spojrzeniem.

— Co? — krzyknęła Liza oburzona — mam jeszcze Cygankę wziąć do tego nędznego legowiska? Nie, co to, to nie! Umieśćcie ją, gdzie wam się podoba, tylko nie u mnie!

— Na Boga Świętego, nie krzyczcie tak głośno — prosiła Matylda, bo pani usłyszy.

— Wszystko mi jedno, niech usłyszy! — zawołała Liza — mam już w ogóle dość tego dobrego. Ani na krok z domu się ruszyć bez opieki, jak we więzieniu jakiem! Nie wierzę już w te dobre posady, które przez panią Schnorr dostać można! Chcę do domu, do swojej matki wrócić! Wolę z nią suchy chleb, niż tu pieczeń i torty. Rozmyśliłam się, i nie chcę już więcej jechać do Brazylii!

Wtem weszła pani Schnorr.

— Tak sądzisz? — zapytała dziewczynę drwiąco. — Wypasłaś się tu, a teraz chcesz uciekać! Idź z Bogiem i krzyżyk na drogę, ale musisz mi wszystko oddać, com na ciebie wyłożyła. Wynosi to razem wraz z kosztami podróży 117 reńskich! Zapłać mi je i wynoś się natychmiast!

— To nie może być, aby pani tyle już dla mnie wydała! To jest podłe kłamstwo! — krzyknęła Liza.

Nie mogła jednak dalej mówić, gdyż pani Schnorr rzuciła się na nią jak furia i syknęła:

— Ty mi kłam zadajesz? ty...

Tu nastąpił szereg najordynarniejszych przezwisk i przekleństw.

— Niech mi pani da spokój, bo otworzę okno i będę wołała o pomoc! — krzyknęła zmaltretowana dziewczyna.

— O, wyleczę cię z takich zachcianek! — rzekła pani Schnorr drwiąco.

Rzekłszy to, związała jej ręce i nogi i włożyła jej knebel do ust.



Onegdaj w Anglii szalał potężny sztorm. Na zdjęciu widzimy fale skaczące na wysokość domu.

Krzyk ten zbudził resztę w tym pokoju śpiących dziewcząt, które zatrwożone oglądały się w koło siebie.

Jedna z nich ujęła się za zgnębioną towarzyszką, mówiąc:

— Co pani Liza zrobiła, że się pani tak nad nią znęca? Co za dużo, to za dużo, pani Schnorr!

— Niech Ema stuli gębę, bo i jej się coś oberwie — krzyknęła Schnorrowa brutalnie.

— Oho, do tego należy dwoje — zawołała Ema odważnie — jedna osoba bijąca, a druga którąby się bić dała! Ja zaś się nie dam!

Ledwo to wymówiła, uczuła rękę pani Schnorr na swej twarzy.

— Oto masz zadatek — drwiła sobie ta jędza — jak ci to nie wystarczy, to zawołam Pipę. Ten już sobie z wami wszystkiemi da radę!

— Nie zawołała go pani przecież teraz, kiedyśmy wszystkie w łóżku! — krzyknęła Ema oburzona.

— Dlaczego? — zapytała ksantypa drwiąco — jak nie będziecie wszystkie cicho, jak makiem siał, to zobaczycie co wam wypłatam.

Groźba ta poskutkowała.

— Czy będziesz teraz spokojna? — zapytała pani Schnorr Lizę, a gdy ta skinęła głową potakująco, wyjęła knebel z ust i uwolniła jej ręce i nogi z pęt.

— Wody! — wyjękła Liza.

Matylda podała jej szklankę wody, którą biedna ofiara chciwie do ust poniosła.

— Niech mi się teraz żadna nie ruszy i nie odezwie, bo inaczej popamiętacie! — przestrzegała je pani Schnorr.

Z groźbą na ustach wyszła z pokoju.

Tymczasem Ilona się rozebrała i wsunąwszy się do łóżka, przytuliła się umyślnie do Lizy, aby jej dokuczyć. Przez chwilę słyszała jeszcze przyśpieszony oddech i bicie serca swej sąsiadki, ale wkrótce usnęła ze znużenia.

Gdy się Liza przekonała o nocnym śnie Ilony, wstała ostrożnie, ubrała się po cichu i wziąwszy buciki w ręce, wysunęła się z pokoju. Lekko otworzyła drzwi, wiodące do przedpokoju. Tam stało zasłonięte firanką łóżko pani Schnorr, a w nim spoczywał Pipa i chrapał, co mu sił starczyło.

Liza nie wiedziała o tym, że pani Schnorr odstąpiła mu swoje łóżko i odskoczyła z przerażeniem, gdy odchyliwszy firankę, zobaczyła jego brodatą twarz.

Przez chwilę stała niezdecydowana, potem wsunęła ostrożnie rękę pod poduszkę, ale nie znalazła tam tego, co szukała.

— Ta czarownica musi mieć klucz od przedpokoju przy sobie, — mruknęła — ale odwagi! Odwagi! Jak się dziś nie uwolnię, to już przez całe życie zostanę niewolnicą.

Wsunęła się na palcach do sąsiedniego pokoju, w którym spała pani Schnorr i sięgnąwszy pod poduszkę, wyjęła z pod niej klucz, który szukała.

W twarzy jej zabłysła radość. Wysunęła się znów cicho do przedpokoju, ostrożnie otworzyła drzwi kluczem, i również ostrożnie na klucz je zamknęła za sobą.

Potem włożyła buciki i zbiegła szybko po schodach. Gdy znalazła się na dole, odetchnęła lekko.

— Teraz pobiegnę wprost na policję i położę koniec temu gniazdu rabusiów, — pomyślała triumfująco.

Podniosła rękę, aby domacać zamku w bramie, ale była ona zamknięta, a klucza w niej nie było.

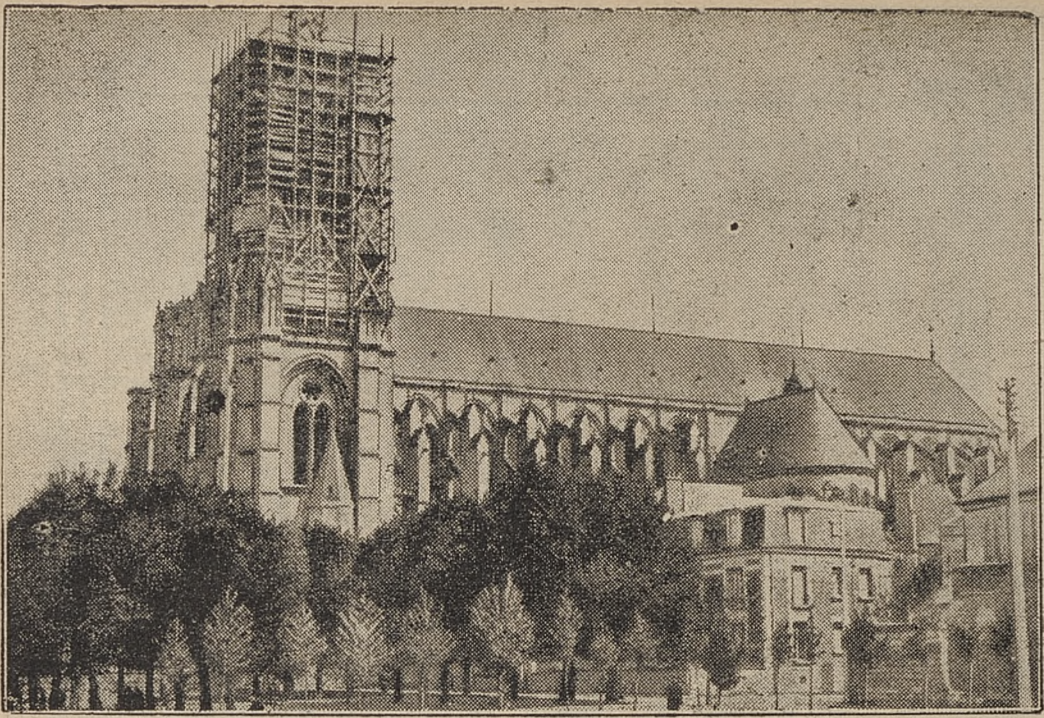
Dziewczyna stanęła zmieszana, nie wiedząc, co począć.

— Nic już nie pomoże, — mruknęła wreszcie — trzeba się na wszystko odważyć, bo do odważnych świat należy!

Po krótkim namyśle zapukała do mieszkania stróża.

— Proszę mnie wypuścić — rzekła — muszę prędko biegnąć po doktora, bo pani Schnorr zachorowała nagle.

— Wyjdę natychmiast — odpowiedział jej męski głos.



Po katedrze w Reims przyszła kolej na odnowienie również zniszczonej w czasie wojny katedry w Soissous.

Po chwili otwarły się drzwi; jasne światło padło na twarz dziewczyny, a równocześnie ozwał się rubaszny śmiech.

— Ach, to ty ptaszku! Szkoda, że cię nie mogę wypuścić, bo pani Schnorr nigdyby mi tego nie wybaczyła — zaśmiał się stróż.

— Myślisz pewno, że uciekam, — rzekła Liza z dobrze udanym wyrzutem — ale patrzcie tu, że mam klucz od przedpokoju. Sam pan Pipa mi go dał.

— Otwierajcie mi prędko, bo pani ma wielkie boleści.

— Miałaby jeszcze większe boleści, gdybyś ty jej uciekła — zawołał stróż, nic nie wierząc jej zapewnieniom. — Chodźmy na górę, aniołku, żal mi, że cię muszę fatygować na 4-te piętro, ale nie mogę inaczej.

Mówiąc to, objął Lizę wpół i chciał ją za sobą pociągnąć po schodach.

— Ależ mylicie się doprawdy — zapewniała go Liza — na Boga, dajcie mi pójść, bo jak późno wrócę, to mnie pani złaja.

— O, przebiegła duszko — śmiał się stróż — a cobyś mi dała, gdybym cię teraz wypuścił?

— Mam jeszcze 2 guldeny i dam ci je — rzekłą drżąc z bojaźni.

— Więcej nie masz? — zapytał stróż — no, to musisz mi jeszcze dodać całusa. Chodź!

Chciał ją gwałtem zaciągnąć do swej izdebki, ale ona opierała mu się, ile jej sił starczyło.

— Wypuście mnie najpierw na ulicę — rzekła — a później dam wam swoje pieniądze i całusa, jeśli koniecznie zechcecie.

— Na ulicy nikt nie całuje — odparł stróż — nie rób ceregieli; co to szkodzi, jak mnie pocałujesz?

— Nie pójdę do waszej izby i nie daję nic naprzód — rzekła Liza rezolutnie.

Stróż obrzucił dziewczynę złośliwym, mściwym wzrokiem.

— Nie chcesz więc? — rzekł — dobrze! Chodźże ze mną teraz na górę do pani Schnorr, ona cię bardzo uprzejmie powita!

To rzekłszy, objął ją wpół i chciał ją gwałtem zaciągnąć napowrót pod gościnny dach Schnorrowej.

Wtem ozwał się głos dzwonka i stróż musiał chcąc nie chcąc spełnić swą powinność i pójść otworzyć bramę.

Lecz w chwili, gdy ją otworzył, odtrąciła go Liza z taką siłą, że go aż na ziemię powaliła; sama zaś wydostawszy się na ulicę, pomknęła lotem strzały.

— Trzymajcie ją! Trzymajcie złodziejkę! — krzyczał stróż.

Lecz lokator, któremu on właśnie bramę otworzył, taki był pijany, że nie rozumiał o co stróżowi chodziło, i wtoczywszy się do korytarza, zażądał marynowanego śledzia.

— Do stokroć diabłów! Jak pan mógł dać uciec tej złodziejce! — wściekał się stróż, podnosząc się z ziemi. Oho, już jest za wszystkiemi górami! — dodał wyglądnąwszy na ulicę. — Co ja teraz pocznę! Trudno szukać wiatru w polu; muszę dać znać Schnorrowej o tem!

Zamknąwszy bramę, pobiegł szybko na 4-te piętro i zadzwonił gwałtownie do drzwi pani Schnorr.

Zacna ta kobieta, wyjęła była z szafy flaszkę rumu i wychyliła ją do połowy przed pójściem do łóżka. Skutkiem tego zasnęła tak silnie, że nie można jej się było dobudzić.

Lecz Pipa, który wypił na kolację tylko dwie flaszki lekkiego piwa, usłyszał po pewnym czasie dzwonienie. Narzucił ubranie i zapaliwszy świecę, wyszedł z nią do przedpokoju.

— Kto się tak gwałtownie dobywa? — zapytał gniewnie.

— Otwórz pan, panie Pipo! — krzyknął stróż poirytowany. — Liza uciekła!

— A, niech cię diabli wezmą! — zaklął Pipa.

Potem wbiegł do sąsiedniego pokoju i chwyciwszy panią Schnorr za barki, zatrząsł nią silnie.

— Wstaj! — krzyknął jej głośno do ucha.

Gdy jednak zobaczył, że delikatna jego przemowa nie wywarła pożądanego skutku na chrapiącą kobietę, wziął się do radykalnego środka. Pobiegłszy do wodociągu, natoczył całe wiadro zimnej wody i wylał na swoją wspólniczkę.

To już pomogło. Pani Schnorr obudziła się szczęśliwie i przeczuwszy w Pipie sprawcę swej kąpieli, wymierzyła mu zręczny policzek.

Pipa zanadto był praktyczny, aby wszczynać bójkę teraz, kiedy każda minuta czasu tak była droga. Krzyknął jej tylko:

— To ci nie będzie podarowane, stara czarownico! Tylko, że teraz nie mam czasu na porachowanie się z tobą. Wstawaj czemprędzej, bo Liza uciekła!

Wiadomość ta wywarła piorunujące wrażenie na otyłą wdówkę.

Wyskoczyła natychmiast z łóżka i ubierając się zawodziła:

— Jakim sposobem ona mogła uciec? Musiała przecież wychodzić przedpokojem, w którym tyś spał. Jakże mogłeś nie słyszeć tego?

— Tak samo ona i przez twój pokój przechodziła — odciął się jej Pipa — a nadto musiała ci jeszcze klucz z pod poduszki wyciągnąć!

Pani Schnorr sięgnęła ręką pod poduszkę. Klucza tam nie było!

— Tyldo! Tyldo! — krzyczała pani Schnorr — podaj natychmiast swój klucz od przedpokoju; ale spiesz się, ty rozlazłe stworzenie!

Dziewczyna wniosła klucz po upływie kilku sekund, a Pipa chwyciwszy go, pobiegł otworzyć drzwi wchodowe.

— Nareszcie! — zawołał stróż zniecierpliwiony długiem czekaniem — ona mogła tymczasem schronić się za wszystkie góry, ta szelma!

— Czegoś ją wypuścił, ty!... złajała go pani Schnorr.

— Dobrze pani mówić — oburzył się stróż — pani chrapie przez całą noc w łóżku, a ja nie mam 5-ciu minut spokoju. Jakbym wiedział, że taka będzie podzięka, to nie powiedział bym co się stało!

— Którędy ona pobiegła? — zapytał Pipa.

Stróż wskazał na wschód.

Tędy są już tylko dwie ulice, a później jest pole — uradowała się pani Schnorr — kiedy tak, to złapiemy ptaszka!

— Mogła przecież skręcić na ulicę Agnieszki, — mruknął Pipa — i przez nią dostać się do śródmieścia.

— Nie kracz tak — jęczała pani Schnorr — w tym wypadku przepadły by przecież pieniądze, które na nią wyłożyłam!

— No, — rozumował Pipa — domy są jeszcze zamknięte, nie mogła się ona nigdzie schronić. Niech Tylda pobiegnie wzdłuż ulicy Agnieszki; ja pójdę ulicą Polną, a ty musisz zejść ulicę Książęcą. Tym sposobem musimy ją przyłapać.

Zawoławszy Matyldę, powiedział jej, którą drogą ma pójść, i we troje opuścili dom.

— Matko Boska, pozwól, abym ja odnalazła nieszczęśliwą! — modliła się Matylda, biegnąc ulicą Agnieszki jak strzała.

Ulica była zupełnie pusta.

Dobiegłszy do końca tejże, stanęła Matylda na chwilę, namyślając się, w którą stronę się teraz zwrócić. Po pewnym namyśle wybrała ulicę, prowadzącą na prawo.

Z daleka już zobaczyła postać kobiecą, która się uparcie broniła przeciwko napaści jakiegoś mężczyzny, należącego do lep-

szej sfery, o ile to z powierzchowności osądzić było można.

— Puść ją pan! — krzyknęła Matylda — spiesząc na pomoc biednej napastowanej.

— To ty, Lizo! — zawołała — poznawszy rysy młodej dziewczyn o szarym brzasku. Potem zwróciła się do owego pana i błagała go:

— Niech się pan zlituje! Jak pan jej nie opuści natychmiast, to ją pan popchnie w największe nieszczęście. Miej pan Boga w sercu i uwolń ją pan!

Uderzony błagającym, gorącym jej tonem, odpowiedział:

— Chciałem sobie tylko mały żarcik zrobić, ale daleki jestem od tego, aby sprawić tak wielką przykrość młodej i pięknej dziewczynie. Idźcie sobie w imię Boskie!

— Niech Matka Przenajświętsza panu to wynagrodzi! — rzekła Matylda z wdzięcznością. Potem zwróciwszy się do Lizy zapytała się prędko:

— Czy masz pieniądze przy sobie?

— Dwa guldeny — odpowiedziała Matylda.

— To nie wystarczy — jęknęła Matylda załamując ręce, — o Boże miłosierny, a ja nie mam ani centa.

Głos jej był tak rozpaczliwy, a mina jej takie wzbudzała współczucie, że ten sam pan, który przedtem zaczepił był Lizę, zapytał teraz dobrowolnie:

— O co właściwie chodzi?

— Ona musi wrócić do biednej swej matki — odpowiedziała Matylda energicznie — ma ona jeszcze Bogu dzięki matkę, u której się może schronić. Wpadła ona w złe ręce, a jeśli jej się nie uda uciec, to będzie na wieki zgubiona!

— Mój Boże — rzekł ten jegomość na to — dlaczegoż nie zwracacie się w takim razie do policji?

— To na nicby się nie przydało! — zawołała Matylda. — Nie ma pan pojęcia, jak diabelnie przebiegli są ci ludzie. Ci handlarze żywym towarem bardzo są ostrożni, a umieją ofiary swe ukryć przed nadejściem policji; gdy policjanci nadchodzą, nie znajdują już w mieszkaniu ich nic podejrzanego. Ponadto stawiają oni zawsze kilkunastu świadków, którzy potwierdzają i zapewniają o ich uczciwości i oburzają się na to oszczerstwo, które ich spotkało. Nie, to niemożebne abyśmy się mogły ostać przeciwko przewrotności tych okropnych ludzi! Ja odprowadzę Lizę na kolej, niech jedzie tak daleko, jak jej pieniądze starczą, a resztę przejdzie piechotą. Gdyby nawet miała paść na gościńcu z zimna i głodu, to zawsze jeszcze lepiej, niż gdyby się znów dostała w ręce tej strasznej kobiety.

Mówiła to z nadzwyczajną powagą, a ostatnie jej słowa brzmiały, jak solenne zaklęcie.

Wreszcie wzięła Lizę za rękę i porwała ją za sobą.

— Zatrzymajcie się jeszcze chwilkę — zawołał na nie młody mężczyzna, który im się aż do tej pory przysłuchiwał — wygrałem dziś w karty kilkanaście banknotów, może wam te pieniądze szczęście przyniosą. Oto są — dodał, wyciągając je z kieszeni i wręczając je Matyldzie — wystarczy to na podróż dla was obie.

W tej chwili nadjechała próżna dorożka. Nieznajomy dobroczyńca obu biednych dziewcząt skinął na woźnicę i wsadził je obie do powozu.

Matylda powiedziała dorożkarzowi dworzec, na który się chciała dostać i powóz potoczył się szybko w żądanym kierunku.

Nieznajomy zamyślił się na chwilę.

— Chciałbym jednak wiedzieć, — mruknął — czym rzeczywiście uratował dwie dusze od upadku, czym się może dał oszukać przez jakąś wyrafinowaną oszustkę.

W godzinę później siedziały oba dziewczęta w wagonie.

Matylda miała tyle przytomności umysłu, że kupiła jeszcze dla siebie i dla swej towarzyszki płaszcze i kapelusze, bo obie opuściły gościnny dach pani Schnorr bez jakiejkolwiek ciepłej zarzutki i obie trzęsły się też jak liście osiki, zarówno z zimna jak również i ze strachu. Odetchnęły dopiero lżej, gdy były już o kilka stacyj za Wiedniem.

Matylda była jednak tak tym wszystkiem zdenerwowana, że zaczęła spazmatycznie płakać; zdawało jej się bowiem ciągle, że pani Schnorr za niemi goni, i że je przyłapie i okropnie za tę ucieczkę ukarze.

Liza uspakajała i pocieszała ją, o ile mogła, ale nie było to łatwą rzeczą.

Tymczasem pani Schnorr i Pipa uwijali się skrzętnie za uciekinierką.

On pocieszał się myślą, że jego wspólniczka ją przyłapała; ona znów myślała, że jemu się to udało.

To też Pipa postanowił wrócić do domu i pokrzepić się sutym śniadaniem za trud poniesiony; pani Schnorr zaś, która z powodu przemoczonej bielizny trzęsła się z zimna, pobiegła również do domu w przyjemnej nadziei, że zastanie tam już Pipę wraz z nieszczęśliwą ofiarą.

Spodziewała się zastać ich czekających na nią przed drzwiami, które ona wychodząc, zamknęła na klucz z obawy, aby jej reszta dziewcząt nie uciekło. Klucz zaś miała przy sobie.

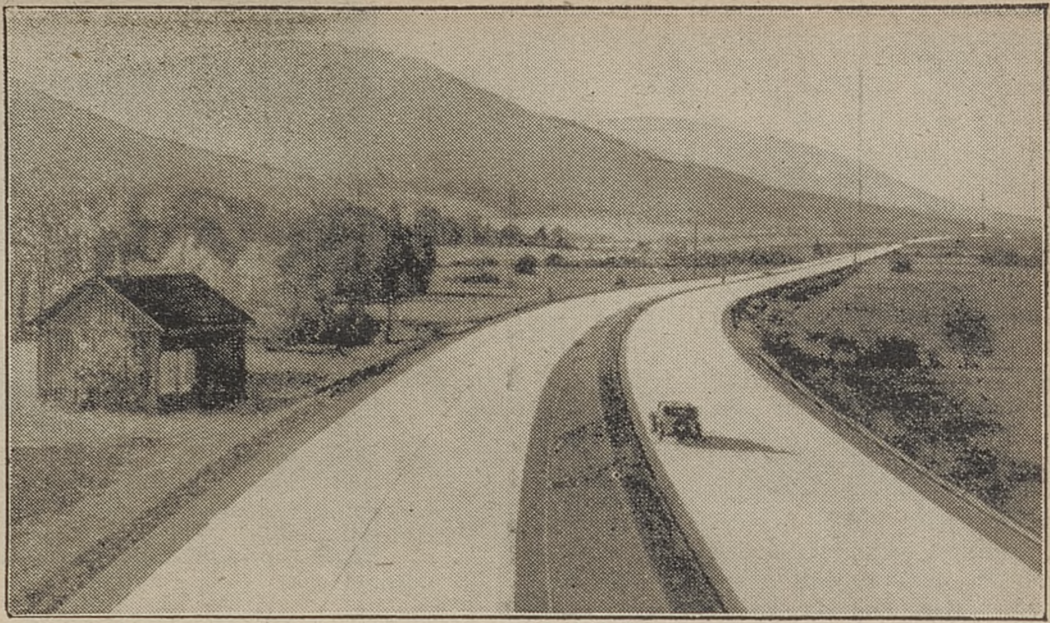
Biegnąc szybko po schodach zasapała się tak, że tchu złapać nie mogła.

Pipa, który, stojąc przy drzwiach, oczekiwał niecierpliwie jej przybycia, powitał ją pytaniem:

— Gdzie masz Lizę?

— Myślałam, żeś ty ją dogonił — odpowiedziała pani Schnorr, bladnąc.

Pipa zaklął i zaczął wrzeszczeć:



Fragment nowej autostrady, która połączy Monachium z Salzburgiem.

— Jak mogłaś bez niej wrócić do domu — stara wiedźmo?

— To samo ja się ciebie pytam — odcięła mu się pani Schnorr, a po chwili zapytała:

— Gdzie jest Matylda? — Czyś ją po co posłał?

— Nie — odpowiedział Pipa — nie widziałem jej jeszcze.

Pani Schnorr przelękła się tak, że musiała się złapać poręczy, aby nie upaść.

— Niech mię diabli wezmą, jeśli one się obie przeciwko mnie nie sprzysięgły i nie przyprowadzą tu policji — jęknęła — zwiń się prędko Schankel i pomóż mi sprzątnąć stąd resztę pozostałych nam dziewcząt. Gdy policjanci nadejdą, nie śmią nikogo więcej zastać tylko Cygankę.

Mówiąc to otworzyła prędko drzwi i wpadła jak bomba do mieszkania.

— Złapaliśmy dziewczynę — rzekła — ale wypędziliśmy ją znów za karę. Wy zaś, któreście zostały u mnie, zrobicie swoje szczęście! Ubierajcie się prędko, moje kochane. Pan Pipa pojedzie z wami na spacer. Książę Pötefy szuka towarzyszkę dla swojej matki, która jest sparaliżowana. Może jedna z was będzie miała szczęście dostać tę posadę. Miałaby tam życie, jak u Pana Boga za piecem. Spieszcie się więc, aby tej sposobności nie opuścić. Kto wcześniej przychodzi ten prędzej korzysta.

— Nie, ja teraz nie pójdę — rzekła Ema z uporem — tak wielkie państwo nie wstaje nawet tak rano.

— Nie chcesz — krzyknęła pani Schnorr — ja cię nauczę, co to znaczy sprzeciwiać mi się. Mam ja niezawodne środki do złamania uporu.

ROZDZIAŁ CCXVI.

Donna Anuncjata

Chciałbym u licha znów mieć jaką zabawną przygodę — rzekł pewnego dnia hrabia Eryk Rauch do swego towarzysza. — Początek z owym nieszczęśliwym hrabią Fontenay był wyborny, ale od tego czasu nie użyliśmy nic, prócz tego mizernego polowania na bawoły.

— W ciągu którego rozwścieklone zwierzęta omal że nas nie zakłuły swoimi rogami! — dokończył Leon. — A jakież te-

raz masz życzenia i pragnienia? Chciałbyś może jakiego napadu rabusiów, którzyby cię ograbili?

— Gdyby nas tylko nie zabili, to nie byłoby wcale tak źle! — odpowiedział hrabia obojętnie. — Moja sakwa podróżna wypróżniła się już i dopiero dostanę w Meksyku nowe zasiłki. Przybywajcie więc rabusie z Newady.

Tak rozmawiając przejeżdżali konno wyżynę Meksykańską, mając za przewodników dwóch tubylców Jose'go i Zenobia.

Nagle wydał jeden z nich głośny okrzyk radości, wskazując równocześnie na gęsty, niebieskawy dym, wznoszący się prosto w powietrzu w pewnym oddaleniu przed nimi.

— Oto hacjenda — rzekł uradowany do podróżnych.

Nadzieja natknięcia na hacjendę, t. j. na zagrodę meksykańską, była i Erykowi bardzo przyjemną. Nie była to wprawdzie upragniona przez niego awantura, ale była przynajmniej mała odmiana.

W przyśpiesznym tempie zbliżali się nasi podróżni do owego domku, przez starannie uprawiane plantacje kukurydzy i trzciny cukrowej, ogrodzone płotem kaktusów, potem przez gaik pełen krzewów pomarańczowych, oliwnych i mirtowych.

Wreszcie zobaczyli i hacjendę.

Był to długi, jednopiętrowy budynek, o jaskrawo pomalowanych wieżyczkach i ładnej werandzie. W całości sprawiał bardzo przyjemne wrażenie.

Eryk i Leon zeskoczyli ze swoich wierzchowców, zostawiając je pod opieką przewodników; sami zaś poszli pieszo ku domowi.

Nie spotkali tam ani jednej żywej duszy, nie powitało ich nawet szczekanie psa. Wokoło kwitły cudne kwiaty.

Cała ta zagroda sprawiała w swej grobowej ciszy i bajecznej piękności wrażenie zaczarowanego zamku z uśpioną w nim królewną.

Eryk Rauch pobiegł niecierpliwie naprzód.

U wejścia do werandy stanął jednak jak wryty i musiał stłumić okrzyk zachwytu; zobaczył bowiem przed sobą najpiękniejsze dziewczę, jakie kiedykolwiek widział w życiu.

Siedząc na fotelu bujającym w pół leżącej pozie, ale z niezrównaną gracją, spojrzała na obcego przybysza swymi cudnymi, aksamitno-czarnymi oczyma, które w tej chwili wyrażały nieme zdziwienie. Nie podniosła się jednak z krzesła.

Od przejrzystej alabastrowej jej cery odbijały świeże, wiśniowe usta, ciemne oczy i kruczo-czarne włosy. Rysy jej były jak wyrzeźbione. Postać smukła, a przecież zaokrąglona. Paliła papierosa i była bardzo elegancko ubrana; żółta jedwabna suknia, suto przystrojona koronkami z rubinowym naszyjnikiem i naramiennikami.

Mierzyli się tak kilka minut wzrokiem. Hrabia Eryk, jako gładki światowiec, ocknął się pierwszy. Uchyliwszy kapelusza, przemówił do pięknej czarodziejki pół po francusku, pół po hiszpańsku:

— Proszę wybaczyć mój niespodziany napad — dla znużonych wędrownych każda zagroda ludzka tyle ma magnesu, że nie mogą oprzeć się pokusie zbliżenia, gdy widzą z daleka dym wychodzący z komina.

— Niepotrzebnie się pan tłumaczy — odpowiedziała młoda niewiasta czystą francuszczyzną — każdy podróżny mile jest widziany w naszej hacjendzie. Proszę bliżej — dodała, zapraszając Eryka i Leona, który tymczasem zbliżył się do werandy — niech się panowie rozgoszczą, a ja każę poprosić ojca i dam rozkaz, aby uporządzono pokoje gościnne.

Na odgłos dzwonka ukazała się żółtoskóra służąca. Miała regularne rysy i należała widocznie do szczepu Azteków.

Ukłoniwszy się nisko, zapytała w języku krajowym o rozkazy.

Odpowiedzi nie mogli nasi podróżni zrozumieć, ale z ruchów ręki pięknej gospodyni dorozumieli się, że kazała zaopiekować się ich końmi i dawała dyspozycje do ich ugoszczenia.

Mariquita (takie było imię służącej) oddaliła się szybko, a pani jej, zwróciwszy się znów do gości, rzekła uprzejmie:

— Ojciec przyjdzie natychmiast i ucieszy się, bo każda wizyta jest dla nas przyjemną odmianą na tej pustyni. Czy panowie palą?

Rzekłszy to, wskazała na szkatułkę z tytoniem i cygarami.

Eryk i Leon poszli za przykładem gospodyni i zaczęli kręcić papierosy.

Wkrótce zjawił się służący z tacą, niosąc słodycze i orzeźwiające napoje.

Otworzył butelkę szampana i nalał do kielichów, resztę postawił na stole, gdzie też umieścił koszyczek z cukrzonymi owocami.

Młoda gosposia przypiła do swoich gości, a Eryk i Leon do niej; potem podała im owoce, ale bez talerzyków i łyżeczek.

Zdziwiło to ich bardzo w pierwszej chwili, wkrótce jednak za przykładem cudnej dziewczyny zaczęli palcami wybierać z koszyczka jeden owoc po drugim i krzepić się nimi.

Tymczasem nadszedł ojciec pięknej dziewicy, otyły, starszy mężczyzna w białym płóciennym ubraniu i dużym słomianym kapeluszu.

— Sennor La Paz! — przedstawił on się swoim gościom z niskim ukłonem, a wskazując na swą córkę, dodał — Donna Anunciata!

Eryk przedstawił siebie i swego towarzysza i nastąpiło podanie rąk. Na tym skończyła się konwersacja między sennorem La Paz a jego gośćmi, gdyż władał on tylko językiem ojczystym, który znów dla Eryka i Leona był obcym.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



I zwierzęta opiekują się sierotami. Kotka karmiąca młode osierociałe lamparciątka.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Ł A M I G Ł Ó W K A

pod. „Ka - Jot".

1					
2					
3					
4					
5					
6					

Wpisać poziomo: 1) Część budynku. 2) Kraj europejski. 3) Przynosi nowiny. 4) Port europejski. 5) Imię męskie. 6) Drzewo owocowe.

Pola zaznaczone grubszą linią dadzą rozwiązanie.

A R Y T M O G R A F

8,5—1—2,11,12,
1—2—13,9,14,
7.2,15—3—2.7.
11,12—4—1,5,16.
13—5—6,9,13,8
2,10—6—17,16
15.4.13—4—10,
18,9,13—7—2.12,4
20—2—15.9,14
7,17,14—8—5,13
8—9—5.19,17,10
20,21—10—20,2,16

W miejsce liczb wpisać 12 imion męskich, a naznaczony rząd da rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1) — 7, 2, 13, 11, 12, 2, 7, 2 — Stolica jednego z krajów Europy.
2) — 8, 5, 13, — Inaczej szyny kolejowe.
3) — 7, 4, 13, 8, 2 — Rzeka w Wielkopolsce.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 10-go listopada br.

Rozwiązanie zadań z nr. 43 „Moich Powieści": Logogryf znanych Polaków: Mikołaj Kopernik.

Rebusiki: 1) Zabawki, 2) Przedstawienie, 3) Kazanie, 4) Kanapa, 5) Kanada, 6) Kanarek, 7) Panama, 8) Namowa, 9) Podwieczorek, 10) Nadzorca, 11) Podlasie, 12) Zabawka, 13) Nadkomisarz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Horyński Zbigniew — Poznań, Kolasiński Jan — Poznań, Dąbrowski Zygmunt — Katowice, Murarski Leon — Brodnica, Głódecki Bożymir — Grudziądz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Dąbrowskiemu z Katowic i Głódeckiemu z Grudziądza.

ADAM CZEKALSKI

6)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

VI

PIERWSZY CIOS

— To wszystko, co mi panie opowiadacie — rzekł porucznik, wysłuchawszy dokładnej relacji obu pań Krupińskich — zakrawa na bajkę, w którą trudno byłoby uwierzyć. To są jakieś historie niesamowite i nieprawdopodobne. Raczej należy przypuścić, że działa tu bardzo sprytny zbrodniarz, który ma na celu zniszczenie naszego szczęścia.

— Ale cóż może komuś zależeć na tym, Jurku? — spytała Lila.

— Nie wiem, ale to pewna, że nigdy nie ma dymu bez ognia. Pierwszym celem tego zbrodniarza jest zniszczenie, jak powiedziałem, naszego szczęścia, a następny, dalszy cel nie jest nam jeszcze dokładnie znany, ale i ten istnieć musi.

— Przeciwko zakusom tego zbrodniarza musimy się jednakże bronić — zauważyła pani Ewa.

— I będziemy się bronić. Z tym też zamiarem przybyłem tutaj dzisiaj, pragnąc z najbardziej wiarogodnych ust usłyszeć relację, po czym udam się do znajomego mi komisarza Krajewskiego i jemu powierzę tę sprawę.

Lila z wdzięcznością spojrzała na Jurka i wyciągnęła do niego dłonie.

— Broń mnie Jureczku, broń...

Porucznik przycisnął usta do rąk narzeczonej i spojrzał jej w oczy.

— Czyż możesz choćby tylko na chwilę wątpić w to, dzieciaku?

— Panie Jurku — odezwała się znowu pani Ewa. — Czy panu nie nasuwa się żadne podejrzenie co do tajemniczego doktora Borowicza?

— Czy to ten sam człowiek, o którym mówiłyście mi panie, że posiada on zielone oczy?

— Tak, to on ma takie dziwne, błyszczące oczy. Kiedyś widziałam w ogrodzie zoologicznym tygrysa bengalskiego w nocy. I teraz, ilekroć przypomnę sobie źrenice tego zwierza, mam zawsze takie wrażenie, że oczy Borowicza przypominają je do złudzenia.

— Zdaje się, że ja tego człowieka spotkałem już dwukrotnie w moim życiu.

— Więc go widziałeś! — zawołała Lila.

— Tak, przypominam sobie, że gdzieś widziałem go już, naturalnie, o ile to jest ten sam człowiek — odrzekł wymijająco porucznik, nie chcąc zdradzać szczegółów spotkania. — I dlatego to — porucznik powstał — pójdę teraz do miasta, aby go odszukać i porozmawiać z nim.

— Jurku, kochanie — zarzuciła mu Lila ramiona na szyję — błagam, miej się na ostrożności.

— Ależ dzieciaku, włos z głowy spaść mi nie może. Łódź nie jest jakimś miastem południowo-amerykańskim, gdzie wypadki nagłej śmierci są na porządku dziennym, a poza tym, ów Borowicz nie jest znowu jakimś smokiem, który pożera ludzi na surowo.



Jak to miło i jak zdrowo polyżwować godzi nę, gdy się już wróciło ze szkoły. Sztuczne ślizgawki już oddano do użytku publiczności.

— W każdym razie ostrożność nie zawadzi — poparła córkę pani Ewa.

— Dobrze, dobrze, będę ostrożnym — zgodził się w końcu Stadnicki.

— Ale na obiad przyjdziesz do nas, Jureczku?

— Bezwątpienia. Muszę przecież zdać paniom relację z tego, co załatwiłem u zielonookiego dżentelmena.

— Pamiętaj!

Porucznik pożegnał obie panie i opuścił zaciszne mieszkanko Krupińskich. Z adresem w ręku udał się do mieszkania tajemniczego doktora Borowicza, układając sobie w głowie, co i w jakiej formie musi mu powiedzieć.

Borowicz zajmował obszerne mieszkanie na pierwszym piętrze przy ulicy Piotrkowskiej. Mieszkanie to niczym nie różniło się od wszystkich innych mieszkań w tej kamienicy i jedynym kontrastem, jaki rzucał się w oczy od razu, była karta wizytowa przybita na drzwiach. Stadnicki przystanął przed nią i przeczytał:

John W. Borowicz
Doktor medycyny
Pacjentów się nie przyjmuje.

— Oryginalne — mruknął Stadnicki i nacisnął taster dzwonka elektrycznego.

Długi czas w mieszkaniu panowała cisza i spokój, jakby tam wewnątrz nikogo nie było. Po kilku dopiero minutach i kilkakrotnym naciskaniu dzwonka, trzasnęły gdzieś wewnątrz drzwi, coś stuknęło i drzwi uchyliły się nieco. Stadnicki spojrzał ciekawie i zobaczył twarz człowieka o tak dziwnym wyrazie i barwie skóry, że mimowoli cofnął się o krok. Ale wnet zmitygował się i zapytał:

— Czy pan doktor Borowicz jest w domu?

— A bo co? — zahuczał basowy głos.

— Pragnę się z nim widzieć.

— Pan doktor w ogóle nie przyjmuje nikogo.

— Ale może dla mnie zrobi wyjątek — przychodzę w bardzo ważnej sprawie.

— Niby z jakiej racji ma robić dla pana wyjątek, skoro zapowiedział raz na zawsze, że nikogo nie przyjmuje. Tam na drzwiach napisane wyraźnie „pacjentów się nie przyjmuje".

— Nie przychodzę wcale jako pacjent, dzięki Bogu czuję się całkowicie zdrów.

— A kim pan jest?

Stadnicki podał cerberowi swoją wizytówkę.

— Proszę to zanieść panu Borowiczowi i zapytać, czy może mnie przyjąć. Ja tu poczekam na odpowiedź.

Drzwi zatrzasnęły się i znowu nastała cisza. Porucznik wodził bezmyślnie wzrokiem po drzwiach mieszkania oryginalnego lekarza i po raz zapewne już dziesiąty odczytywał napis na karcie wizytowej. Ale po pewnym czasie znowu coś stuknęło, znowu drzwi się otworzyły i cerber o barwie skóry lekko-mlecznej kawy i mordzie psa skinął na porucznika.

— Pan doktor prosi.

Przedsionek mieszkania doktora był prawie zupełnie pusty. Oprócz wieszaka i małego lusterka, nic więcej tu nie było.

Idąc za przewodnikiem, Stadnicki przeszedł jeden i drugi pokój, umeblowany gustownie, bogato i ze smakiem i w końcu znalazł się oko w oko z Borowiczem. Obaj panowie spojrzeli sobie dumnie i hardo w twarze i mierzyli się czas jakiś wzrokiem. Porucznik zdążył zauważyć, że Borowicz jest przystojnym mężczyzną lat około czterdziestu, ubrany bez zarzutu. Ale co najbardziej go uderzyło, to ciemna barwa skóry i oczy, te ciekawe oczy, płonące pod gęstymi i czarnymi brwiami jak dwie zielono-ogniste pochodnie. Tak, teraz nie ulegało już dla Stadnickiego najmniejszej wątpliwości, że człowiek ten jest tym samym, którego spotkał na schodach swego domu w Warszawie, tym samym, którego przelotnie widział na zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej.

— Bardzo pana przepraszam — odezwał się matowym, harmonijnym głosem Borowicz, — że kazałem czekać mu pod drzwiami, ale, widzi pan, ja nikogo z chorych nie przyjmuję, żadnych pacjentów... I służący mój, biorąc pana za jednego z potrzebujących porady, nie chciał pana wpuścić.



Król angielski Jerzy VI. udaje się po raz pierwszy na uroczyste otwarcie parlamentu angielskiego.

Ale gdy mi tylko przyniósł wizytówkę... Proszę, racz pan usiąść.

— Panie Borowicz — rzekł Stadnicki, nie siadając i wpatrując się mocno swymi czarnymi oczami w zielone pochodnie Borowicza — przychodzę do pana w sprawie, która jest mu dobrze zapewne znana.

Borowicz podniósł do góry zdziwione brwi.

— Pan wybaczy, ale ja po raz pierwszy dopiero dzisiaj miałem zaszczyt usłyszeć pańskie czcigodne nazwisko.

— Mimo to, pan mnie zna.

— Doprawdy — nie przypominam sobie.

— Pan spotkał mnie przed dwoma dniami na schodach pewnego domu w Warszawie, później widziałem pana na ulicy, jadąc na dworzec kolejowy.

Doktor uśmiechnął się niewyraźnie.

— Pomyłka łaskawy panie, najzwyklejsza pomyłka, gdyż tymi dniami w ogóle w Warszawie nie byłem. Owszem, wyjeżdżałem z Łodzi, ale do Poznania, aby powitać przedstawicieli firmy kalkuckiej, której mam zaszczyt być przedstawicielem, przybywających do Łodzi dla pertraktowania o dostawy dla Indyj. Zapewne czytał pan już o tym, iż przedstawiciele ci wczoraj właśnie przybyli do Łodzi.

Porucznik nie dał się jednak zbić tą informacją z tropu. Chwilę rozmyślał, w końcu znowu rzekł:

— A jednak pan mnie zna i ja pana znam. Ale nie o to tu chodzi. Przychodzę do pana z prośbą, abyś zechciał pozostawić w spokoju moją narzeczoną, pannę Alicję Krupińską.

Borowicz flegmatycznie wyjął srebrną, złotem nakładaną papierośnicę i podsunął ją porucznikowi, a kiedy zapalili, doktor znowu zaproponował Stadnickiemu zajęcie miejsca.

— Proszę, niech pan zrobi mi tę grzeczność i raczy zająć miejsce. W takiej pozycji daleko swobodniej będziemy mogli rozmawiać.

Tym razem stadnicki usiadł i oczu nie spuszczał ze swego interlokutora, jak gdyby spojrzeniem swoim chciał mu się wwiercić w czaszkę i wyrwać stamtąd myśli i zamysły.

— Ach tak — wyrzekł wolno Borowicz — więc panna Alicja Krupińska jest narzeczoną pana porucznika? Nie wiedziałem o tym.

— Oznajmiłem to panu bardzo poważnie przed chwilą.

— I domaga się pan ode mnie, ażebym ja wyrzekł się próby zdobycia kobiety, którą kocham?

Stadnicki zagryzł usta i zgniótł papierosa w palcach.

— Panie, proszę nie zapominać, że powtarza pan to narzeczonemu panny Krupińskiej! — syknął groźnie porucznik.

— Czy to pana obraziło? W takim razie najmocniej przepraszam.

— Czemu pan wybrał za cel swoich napaści właśnie moją narzeczoną? — rzucił pytanie porucznik.

— Czemu? Panie... Miłość przychodzi nagle, a im jest ona głębszą, tym szlachetniejszą — odrzekł wymijająco Borowicz.

— Pan nie odpowiedział na moje pytanie, które, jak mi się zdaje, bardzo jasno postawiłem i będę panu zobowiązany za równie jasną odpowiedź.

— Sądzę, że każdemu wolno czcić takie bóstwo, jakie sobie w życiu obierze. Czy nie podziela pan tego mniemania? I bądź pan przekonany, że żaden z wierzących na kuli ziemskiej ludzi, jakiegokolwiek Boga on by nie czcił, zapytany w tej mierze, nie będzie umiał dać konkretnej odpowiedzi. Wierzy i czci — to wszystko. A dlaczego? Nad tym nie zastanawiał się nigdy.

Porucznik żachnął się.

— Nie zagłębiajmy się w dociekania filozoficzno-psychiczne, panie Borowicz — rzekł na pół gniewnie — ale sprawy te zostawmy innym, do tego powołanym, a my rozmawiajmy o tym, co nas najbardziej bezpośrednio dotyczy. Więc: czemu pan obrał sobie za cel swoich napaści moją narzeczoną?

— Bo ją kocham miłością równą pańskiej.

Stadnicki porwał się z miejsca wzburzony.

— Panie... Jak pan śmiesz?

Borowicz powstał również i uśmiechając się swoim łagodnym, ciepłym uśmiechem, czekał w postawie jakby skruszonej i pokornej.

— Pan się gniewa, panie poruczniku?

— Zabraniam panu napastować moją narzeczoną, rozumiesz pan! — rzucił groźnie.

— Kocham ją, panie — rozłożył Borowicz bezradnie ręce.

— Milcz pan, milcz, na Boga! Jeszcze słowo na ten temat, a palnę panu w łeb.

Borowicz wciąż uśmiechał się łagodnie i tajemniczo.

— Usiądź pan, panie poruczniku — rzekł doktor spokojnie głosem melodyjnym i jakby wylękłym. — Usiądź pan i porozmawiajmy jak dwoje ludzi dojrzałych i rozumnych.

Stadnicki z trudem zdołał się opanować i zrozumiał, że Borowicz jednak ma rację. Usiadł więc, ale wewnętrznie wciąż jeszcze był wzburzony i chwilami drżał nerwowo. Borowicz utkwił w nim swoje zielono - ogniste pochodnie i porucznik doznał pod wpływem tego wzroku jak gdyby przedziwnego, a cudownego uspokojenia, jakiegoś ukojenia, ciszy i spokoju.

— Wysłuchaj mnie pan — odezwał się znowu doktor swoim zwykłym, łagodnym głosem — posłuchaj pan... Pan kocha pannę Alicję i ja ją kocham, a obaj nie wiemy, czyja miłość jest głębsza, silniejsza. Ja jestem zdania, że miłość moja powinna być trwalsza, na głębszych podstawach oparta. I dlatego... i dlatego pozwolę sobie zaproponować panu rzecz pewną...

Zielono - ogniste pochodnie Borowicza nie przestawały z uporem wpatrywać się w czarne oczy porucznika. I Stadnicki czuł, że oczy te obezwładniają go, pętają jego wolę, odbierają możność jakiegokolwiek sprzeciwu, protestu. A przecież czuł doskonale, że człowiek siedzący naprzeciwko niego jest jego wrogiem, jego śmiertelnym wrogiem, który nie dobra jego pragnie, który nie dobra Alicji pragnie, ale ich zguby, ich zniszczenia, rozbicia szczęścia... Jednakże nie był w stanie zaprotestować, ale z jakąś owczą czy baranią uległością słuchał dalej w milczeniu.

— Pan mi ustąpi Alicję... Odejdzie pan, zapomni i nigdy nie będzie starał dowiedzieć się, jaki los spotkał tę kobietę... Za tę przysługę ja pana wynagrodzę tak, jak rzadko kto drugi wynagrodzić byłby w stanie. Dam panu dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści tysięcy... Suma nie odrywa tu zresztą głównej roli.

Porucznik słuchał, rozumiał doskonale niecność całej propozycji, buntował się wewnętrznie, ale wciąż był jakiś obezwładniony, wciąż nie był w stanie nawet się poruszyć, aby pierwszym przedmiotem, jaki nawinie mu się pod rękę, rzucić w twarz temu człowiekowi, w łeb mu palnąć i odejść stąd precz. A Borowicz mówił tymczasem dalej:

— Rozumie pan, panie poruczniku — pan odejdzie, pan mi ustąpi Alicję, bo ja kocham ją głębiej od pana i ze mną na pewno będzie daleko szczęśliwsza, niż z tobą, niż przy tobie, bo ty, oprócz swej porucznikowskiej gaży, nic poza tym dać jej nie będziesz w stanie... A ona warta, aby jej niebo przychylić, z gwiazd gościniec usłać, kobierce z kwiecia pod stopy rzucić... Więc pan musisz odejść, musisz...

Głos Borowicza, tak niedawno łagodny i ściszony, nabierał teraz mocy spiżu, brzmiał mocno, dobitnie, rozkazująco. I porucznik czuł, jak pod wpływem tego nakazującego



Jeden z ciekawszych eksponatów nadesłanych na międzynarodową wystawę myśliwską w Berlinie.

głosu ogarnia go całkowita bezwładność, że jego opór słabnie, wola wiotczeje, że, maluczko, a gotów posłuchać tej niecnej propozycji, gotów zgodzić się na nią. Rozumiał, że dzieje się z nim coś niezwykłego, coś bardzo złego, coś, czego w żaden sposób pojąć nie może, ale co rozumie tylko jakby połową swej świadomości.

— Jeszcze dzisiaj pojedzie pan z powrotem do Warszawy — mówił nakazująco Borowicz — pojedzie pan o godzinie 6,30 wieczorem i nikomu pan nic nie powie, z nikim pan się nie zobaczy i nie zamieni jednego słowa.

Porucznik ostatnim wysiłkiem woli porwał się na równe nogi.

— Psie! — warknął groźnie i rzucił się z pięściami na Borowicza, ale ten zasłonił się tylko rękami, cofnął o krok i chuchnął w twarz przeciwnika. Stadnicki opadł ciężko na krzesło i prawie natychmiast zasnął.

— Dario! — zawołał Borowicz gdzieś w przestrzeń na swojego cerbera — zabierz pana porucznika i pozwól mu wypocząć. Zmęczony się biedak czuje.

Przybyły służący uśmiechnął się szatańsko i ująwszy silnymi ramionami Stadnickiego, poniósł go gdzieś w głąb mieszkania.

— A nie zapomnij, Dario — dodał Borowicz — poprosić pana porucznika o łaskawe podpisanie tego oto papierka, który po podpisaniu przyniesiesz mi zaraz tutaj, bo ja zaraz wychodzę.

— Słucham, panie.

VII

KRADZIEŻ PLANÓW

Kapitan Olśnicki zdziwił się ogromnie, widząc porucznika Stadnickiego wchodzącego już po godzinach urzędowych do gmachu szefostwa aeronautyki.

— Cóż to, nie służyło ci powietrze polskiego Manchesteru, że nawet urlopu nie wykorzystałeś? — zapytał przyjaciela.

— Nie wiem... coś mi jest, czuję się jak gdyby chory — odrzekł urywanym głosem Stadnicki.

Kapitan przyjrzał mu się uważnie i odruchowo wziął go za rękę.

— Ależ ty jesteś chory, człowiecze! — zawołał wystraszony. — Co z tobą się dzieje? Jesteś blady, zmieniony i masz wysoką temperaturę.

— Właśnie... tak...

— Bój się Boga, chłopcze, wracaj natychmiast do domu i kładź się do łóżka.

— Nie, jeszcze nie, poczekaj... Mam tu jeszcze niektóre sprawy pilne do załatwienia... Muszę je koniecznie dzisiaj załatwić.

— Sprawy nie zając, nie uciekną, bądź pewien, że czas będzie załatwić je wtedy, gdy wyzdrowiejesz, a tymczasem wracaj do domu, chłopcze.

— Nie, nie, Stachu, pozwól mi załatwić te sprawy — pilne, bardzo pilne...

Kapitan wzruszył ramionami.

— Jak chcesz, ale to ci powiedzieć muszę, że postąpisz sobie bardzo nieroztropnie i później będziesz żałował tego. Zdrowie utracić łatwo, ale odzyskać je, to droga bardzo długa i mozolna.

Stadnicki nie rzekł już nic, ale jak błędny przeszedł obok przyjaciela, otworzył jedne i drugie drzwi i znalazł się w końcu w swoim pokoju. Mimo woli spojrzał na ogniotrwałą kasę i podświadomie uśmiechnął się do niej. Spróbował zamków — kasa była zamknięta.

— Chwała Bogu — szepnął do siebie — plany dobrze zamknięte. — Ale gdzież to klucze?

Otworzył szufladę biurka i zaczął długo w niej szperać. Klucze były. Zaklejone i zalakowane w kopercie — leżały na tym samym miejscu, na którym zostawił je, wyjeżdżając do Łodzi. Druga para znajdowała się w rękach pułkownika Grodeckiego, a ten umiał dobrze strzec tajemnic urzędowych.

— A jednak pamiętam dobrze, jakby mi coś szeptało: „idź i sprawdź kasę ogniotrwałą". Co to było? Skąd te głosy?

Porucznik wsparł głowę na dłoniach i zaczął rozmyślać. Teraz dopiero mógł posegregować swoje wspomnienia, porwane i postrzępione tak, że z trudem można było z nich zlepić całość. Ale jednak całość ta zlepiała się teraz w jego mózgu. A więc co to było: Była depesza od Lili, którą nadał ktoś inny. Potem pojechał do Łodzi i tam dowiedział się o tajemniczych napaściach niewidzialnego osobnika na tego najmilszego w świecie dzieciaka, o torturowaniu Lili, o zjawieniu się na bruku łódzkim doktora Borowicza, przedstawiciela jakiejś tam firmy, a potem, potem... Cóż to było potem? Aha, już wie — poszedł do mieszkania Borowicza i długo z nim rozmawiał. Borowicz powiedział mu, że kocha Lilę, nawet zaproponował mu odstąpienie jej za cenę iluś tam tysięcy... Przez ciało porucznika przebiegł gorący dreszcz.

— Bydlak! — mruknął. — Jak on mógł mówić do mnie w podobny sposób, jak on śmiał? I jak się to stało, że nie rozbiłem mu łba, nie wpakowałem dostatecznej ilości ołowiu w ten jego łeb?

A co było potem?

W tym miejscu porucznik nadaremnie usiłował przypomnieć sobie cokolwiek. — Mózg jego spowity był jakby jakąś gęstą i nieprzeniknioną mgłą, której nie mógł rozerwać, chociaż myślał usilnie i czynił nadludzkie próby, aby przypomnieć sobie cokolwiek.

Nad czasem, od kiedy zagroził Borowiczowi kulą, aż do momentu oprzytomnienia w pociągu zdążającym do Warszawy, zawisła, jak gdyby gęsta opona mgły, którą nadaremnie usiłował przeniknąć pamięcią.

Wszedł podoficer służbowy, przysłany tu przez zaniepokojonego Olśnickiego.

— Panie poruczniku, już noc — przypomniał podoficer.

— Noc? Która to godzina?

— Dawno po jedenastej — północ się zbliża.

— Tak, już późno — zgodził się porucznik i usiłował powstać, ale zachwiał się i upadł na biurko. Podoficer podbiegł mu z pomocą, próbując podnieść, ale Stadnicki był bezwładny i nieprzytomny. Podoficer nacisnął dzwonek alarmowy przy biurku i po chwili wbiegł Olśnicki z dwoma podoficerami.

— Panie kapitanie, pan porucznik zemdlał — zaraportował podoficer.

— To było do przewidzenia — rzekł do siebie kapitan i wydał rozkaz wezwania sanitariusza lub kogokolwiek, kto by mógł zająć się cuceniem Stadnickiego. Sam zaś, pochyliwszy się nad przyjacielem, zaczął stosować znane sobie zabiegi i przemawiał do niego głosem przyjacielskim i serdecznym, ale porucznik leżał nieruchomo i bezwładnie, blady, niby lalka woskowa.

— Jurek! Jurek!... — powtarzał raz za razem kapitan. — Zbudź że się chłopcze! To ja, Olśnicki, Jurek, Jurek!...

Ale Stadnicki ani drgnął.

— Panie kapitanie, jest sanitariusz! — zameldował podoficer.

— Dawaj go tutaj!

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Niedziela, dnia 7 listopada 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Koronowa 11.15 Regionalna transmisja z Koronowa 12.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Utwory na dwa fortepiany 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 18.55 Słuchowisko — „Jak Sobieski z Kowalichą tańcował" 19.35 „Słynni wirtuozi" — 4 audycja 21.15 Dwa skecze z Łodzi 22.05 „Najpiękniejsze pieśni Moniuszki" — II audycja 22.25 Recital fortepianowy St. Szpinalskiego.

Poniedziałek, dnia 8 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu": „Wywiad z cukiernikiem" 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Wesoło i sentymentalnie — koncert 17.00 „Semmelweiss — twórca antyseptyki" — odczyt 17.15 Recital klarnetowy Ludwika Kurkiewicza 18.10 Dwie pianistki jazzowe (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Dyskutujmy: „Droga rozwoju", czy droga przewrotu?" 20.00 Koncert rozrywkowy 21.55 „Arcydzieła muzyki symfonicznej" — II audycja

Wtorek, dnia 9 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Franciszek Liszt: „Koncert Es-Dur (z płyt) 12.03 Audycja południowa 15.45 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — audycja dla dzieci 16.15 Trio salonowe Rozgłośni Poznańskiej 17.15 Koncert orkiestry dętej 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki" — wieczór III 19.30 Polska twórczość chóralna 20.00 Muzyka taneczna z filmów dźwiękowych 21.00 Koncert symfoniczny z Torunia 22.00 Recital skrzypcowy Orlanda Barero 22.35 Muzyka taneczna z płyt.

Środa, dnia 10 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Eryk Coates dyryguje własnymi utworami (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci 16.00 „Uczmy się mówić" 16.15 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 17.00 „Sowiety — państwo pokoju", — odczyt 17.15 Żołnierz w poezji i pieśni — aud. liter-muzyczna 17.50 „Mój mały pacjent i jego duża mama" — pogadanka 18.10 Lekkie wiązanki (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Ranek 11 listopada 1918 roku" — scena z powieści 19.20 Krótki recital harfistki węgierskiej K. Szarvas 19.35 „Śladami myśli prof. Twardowskiego": „O egzoizmie" 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Pieśń polska — koncert.

Czwartek, dnia 11 listopada 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja uroczystego nabożeństwa z Ostrej Bramy 10.10 Legionowe echa — koncert 10.40 Transmisja fragmentów rewii wojskowej 12.03 Tańce polskie w wyk. Orkiestry Symfonicznej i chóru P.R. 13.00 Audycja dla dzieci — wesoła rewia 13.30 Polska muzyka rozrywkowa z Wilna 15.00 „Wolność, radość i piosenka" — audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni P.R. 16.30 Koncert solistów 17.15 Przemówienie 17.30 „Ognie czarnej róży" — Słowa poetów o Zmartwychwstaniu Polski 18.00 Utwory Ignacego Paderewskiego w wyk. J. Turczyńskiego 18.45 Fragment z Pism Marszałka Piłsudskiego 19.00 Słuchowisko pt. „Pieśń dnia powszedniego" 19.45 Nasza marynarka gra — koncert 21.00 „Miłostki ułańskie" — wodewil Godeńskiego 22.30 Polska muzyka taneczna.

Piątek, dnia 12 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Modest Mussorgskij: Fragmenty z op. „Borys Godunow" 16.15 Łódzka Orkiestra Salonowa 17.00 Biblioteka publiczna w Łodzi — reportaż 17.15 Siostry Burskie w swoim repertuarze oraz B. Kaczyński 18.10 Egzotyczne orkiestry (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Pani Wicesgerentowa" — Kurant staroświecki 19.30 Pieśni starowłoskie w wyk. A. Szlemińskiej 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 13 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkoł 11.40 Utwory skrzypcowe Piotra Czajkowskiego 15.45 Słuchowisko pt. „Wesele lalki" — dla dzieci 16.15 Orkiestra dęta 17.00 „Artur Grottger — opowieść biograficzna" 17.15 „Od Aten do Bayreuth" — II audycja „Monteverdi" 18.15 Michał Zabeyda-Sumicki śpiewa piosenki białoruskie 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 20.00 Muzyka lekka i taneczna 21.45 Skecz — „Klient" 22.00 Koncert popularny muzyki operowej.



ON OCALAŁ!...

Pasażer: — Więc tylko pan jeden ocalał z załogi tego okrętu? To ciekawe! Niechże mi pan opowie, jak się to stało?

Marynarz: — Ano urżnąłem się w porcie i spóźniłem na statek.

DOWÓD

— Panno Helu, ja bez pani żyć nie mogę.

— Nie wierzę panu, panie Henryku.

— Dam pani niezbity dowód.

— Jaki?

— Pokażę pani listę moich długów.

ZACHWYCAJĄCY ZNACZEK

Klient wchodzi do składu.

— Poproszę o znaczek pocztowy za 25 groszy.

Klient bierze znaczek slini go językiem i przylepia na list.

— Ależ znaczek nie ma kleju — mówi zdziwiony.

Sprzedawca kiwa głową:

— Wiem, pan już jest 10-tym, który nie może go przykleić.

OBSERWATOR

Pani B. zaprosiła kilka przyjaciółek na podwieczorek. Pan B. przyszedł do domu i zasiadł z gazetą na uboczu. Po chwili odezwał się do żony.

— Zosiu, nalej pani Kociołkowej jeszcze trochę kawy, bo już ósmy kawałek ciasta macza w pustej filiżance.

MIŁY STARUSZEK

— Daj mi tatusiu dziesięć groszy dla staruszka!

— Masz synku. Cieszy mię, że masz dobre serce!

— Tak, a ten staruszek sprzedaje pyszne cukierki!

ZAWSZE ZADOWOLONY

Nauczyciel. — Jak się nazywa ocean, położony pomiędzy Azją Wschodnią, a Ameryką Zachodnią?

Książę. (Milczy).

Nauczyciel. — Świetnie to książę uwydatnił Jest to, rzeczywiście, Ocean Spokojny.

SŁUSZNIE

— Jak się nazywa stworzenie, które ma dwie nogi i p-i-e-r-z-e?

— Praczka, proszę pana psora.

PRACUJE DLA PAŃSTWA

— Teraz to już pracuję tylko dla państwa!

— Nie wiedziałem, że pan jest takim altruistą. Komu więc poświęca pan tyle trudu?

— Wszystko co zarobię zabiera komornik!

MAM ZASZCZYT

Panie baronie, mam zaszczyt prosić o rączkę pańskiej córki.

— Jakóbie, — zwraca się baron do służącego — idź do panny baronówny i powiedz, że przyszedł manicurzysta.

JEST...

Więc jesteś najgorszym uczniem w klasie? Czy naprawdę nie ma już większego głupca od ciebie?

— Owszem jest, ale dziś nie przyszedł. Podobno chory.

ON NIE GRA ROLI

Jako artysta filmowy zarabiam 300 zł dziennie.

— Bój się Boga! Minister nie ma takiej pensji!

— No tak! Ale on nie gra żadnej roli.

CO TO JEST ATAK

— Szeregowiec Moryc, co to jest atak?

— Atak?... panie poruczniku?. Atak, nu to mniejwięcej to samo, co apopleksją.

GROŹBA

Ojciec: — Dzieci, nie gniewajcie matki, bo będzie znowu grać na fortepianie!

DOBRZE ZROZUMIAŁA

...jeśli więc pani chce schudnąć, musi pani jeść owoce, jarzyny, sałatę...

— Dobrze, ale po — czy przed jedzeniem?

ODPAROWAŁ

Żona: — Nie zapominaj, że tylko mnie zawdzięczasz to, czym jesteś!

Mąż: — Tak, to prawda, ale ja ci z tego powodu nie robię wyrzutów.

DOBRA RADA

— Co kupimy dla naszego biednego wuja? Doniczkę kwiatów, czy wieniec?

— Doprawdy, jak uważasz... wybierz, jakby dla siebie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również tc ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe — Żnin nr. 1